Kamena

1957 17

Dwutygodnik literacki ▪ 16/30 IX.57 ▪ 2 zł

Rok XXIV Nr 135

LUBLIN

TRUDNE POCZĄTKI

(Z wychodźczych wspomnień)

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Każdy zna ten stan rzeczy, przy którym przyjemnie jest myśleć „o czym innym". Praca, zmęczenie, troski, żałoba — jeśli człowiek może wyłączyć na chwilę rzeczywistość i wejść na ten plan, na którym nie ma jakby czasu, gdzie wszystko dzieje się jednocześnie, to wówczas ma wolny wybór: może ze wszystkiego, co przeżył, wziąć to, co najbardziej go wewnętrznie wspiera, dobrać sobie towarzystwo, zajęcie, położenie i nawet postawę. To, o czym mówię, co usiłuję wyrazić, różni się tym od wspomnień, że człowiek nie uznaje wówczas żadnej „przeszłości"; wszystko bowiem dzieje się na tym szczególnym planie jednocześnie, tak jak szereg przedmiotów jest, na przykład, naraz w jednym i tym samym miejscu... Więc, gdyby się miało tylko trochę więcej wewnętrznej magii, tylko trochę więcej przytomności umysłu i siły, „która góry przenosi", to nawet śmierć nie miałaby tej mocy doprowadzania do rozpaczy, którą obecnie posiada. Czasu nie ma; został on wymyślony dla wyrażenia braku ciągłości wewnątrz nas samych, braku poczucia wieczności, którą się ciągle tylko przeczuwa, której się desperacko szuka w różnych dziedzinach — w miłości, we władzy, w sztuce — i szuka nadaremnie.

Niechże biała magia, która jest na usługach wieczności, postawi przede mną najpiękniejszą — broń Boże nie najcięższą, ani nie najbrzydszą! — z moich wojennych przygód — wiem, że słowo to jest tutaj nie na miejscu, ale ani „doznanie", ani „przeżycie" również mi nie odpowiada.

A więc muszę od razu wspomnieć o prześlicznej postawie naszych woźnych i szoferów z M.S.Z. w czasie pośpiesznej, na łeb na szyję, ewakuacji naszej. Porozłączani z rodzinami, które ewakuowano koleją, gdy my urzędnicy jechaliśmy aż do Rumunii autobusami (nota bene oddani pod komendę ludzi niezdatnych do organizowania tego rodzaju „wycieczki" zbiorowej), ładowali i rozładowywali autobusy, nosili paki, pilnowali autobusów w czasie postojów, biegali budzić rozkwaterowanych po różnych dziurach wojażerów. Nikt z nich nie skarżył się, nie tchórzył, nie wyłamał.

Na ostatnim etapie w Kutach mieszkałam dzień jeden u ubożuchnej Cyganki w chałupie z ogródkiem. Kiedy przyszedł nagły zupełnie i dla niej, i dla mnie moment wyjazdu, zaczęła błagać, bym ja — by inni także — nie wyjeżdżali: „Zostańcie z nami", prosiła, „zmarniejecie tam u obcych. Co tam będziecie robili? Kto o was się zatroszczy?" Bóg raczy wiedzieć, skąd się jej wzięła ta prorocza mądrość... Na całej naszej drodze, już od Dubna, władze ewakuowały się na rozkaz, a wszelką straż pełniły organizacje młodzieżowe. Ale u mostu wiodącego z Kut do Rumunii była znów policja, regulująca nasz wyjazd, broniąca dostępu osobom nieurzędowym. Stary podoficer wstrzymywał całą grupę Żydów, którzy pieszo uszli byli aż z Krakowa: „Nie bójcie się, państwo", — perswadował. — „Ja zostanę z wami i potem z wami przejdę most. Nie zostaniecie sami". Inni policjanci wracali szybkim krokiem z rumuńskiej strony: „Patałachy kazali nam broń oddawać", — krzyczeli z oburzeniem. „Wolej mundury porzucamy, a tutaj zostaniemy, niżby my mieli broń oddać". Nie orientowali się, biedacy, że tak każe obyczaj międzynarodowy...

W jednym z małych rumuńskich miasteczek po drodze do Czerniowiec, stanęliśmy na rynku po południu i wtedy okazało się, że naszych pieniędzy nikt nie chciał brać. Nic raptem nie były warte... Ale jeden z szoferów już był przy mnie z ogromną pajdą chleba, której mu udzielił jakiś rumuński znajomek, i zaraz potem podeszła kobieta, cała we łzach, z wielkim dzbankiem zsiadłego mleka, które poczęła darmo rozdawać. Głaskała szorstką i niezbyt czystą ręką samochody i nas i płakała nad nami, istna Niobe żydowska. Bo to była Żydówka... Inna Żydówka głęboko mnie zawstydziła już w Czerniowcach. Kiedy usiłowałam, natychmiast po ulokowaniu się w tym mieście, pomagać w konsulacie przy załatwianiu olbrzymiej liczby uchodźców, nie posiadających paszportów, weszła nieznajoma, szukając pewnego pułkownika wojsk polskich z rodziną, z którymi zaprzyjaźniła się była latem w Konstancy. „Chcę zaofiarować im dom mój jako mieszkanie tymczasowe i dać do dyspozycji pieniądze", mówiła. „Bardzo to ładnie, bardzo po chrześcijańsku z pani strony", zauważyłam, obiecując poszukać tych osób na liście. Dama wyprostowała się i zmierzyła mnie wyniośle: „Przeciwnie, proszę pani", rzekła, „to jest nie iście po chrześcijańsku, ale iście po żydowsku..." Bardzo mnie zawstydziła, powtarzam.

Kiedy stanęłam na bruku Czerniowiec, byłam jak śrubka, która wypadła z maszynerii, jeszcze mi nie było przyszło do głowy pomagać przy paszportach; nie miałam ani grosza rumuńskich pieniędzy, ani dachu nad głową. Jedno tylko wiedziałam na pewno: to, że nie chcę iść do żadnego obozu, nawet gdyby tam było jak najlepsze utrzymanie od rządu rumuńskiego. Na szczęście w progu konsulatu stał stary kolega i znajomy, nasz ambasador w Bukareszcie Roger Raczyński: poprosiłam go o parę lei na telefon. Dał mi tysiąc lei... Bywają w bajkach takie pieniądze, które się nigdy nie wyczerpują. Przez cały mój ośmioletni pobyt w Siedmiogrodzie nigdy, w najokropniejszych nawet warunkach, tak się nie stało, żeby mi zupełnie zabra-

(Dokończenie na str. 4)

Bez amunicji

pod wierzbą płaczącą marząc...

MIROSŁAWA KNORR

Najpierw mawiało się: „bodajbyś cudze dzieci uczył". Teraz sytuację nauczyciela charakteryzuje przysłowiowe już dziś powiedzenie ministra Oświaty: „jesteście żołnierzami bez amunicji". Dawniej — klątwa, dziś — perspektywa bohaterskiej obrony posterunku do ostatniego naboju. A potem? Ech, czyż rzeczywiście musimy w tak niewesołym nastroju wkraczać w mury szkolne, w roku pańskim 1957/58? Czy rzeczywiście w kraju naszym tylko lakier ma konsystencję zaprawy spajającej wiarę z nadzieją i entuzjazmem?

Wiosenne odwilże i październikowe wichry ujawniły tandetność różowej powłoki, spod której wyszły na światło dzienne wszystkie dziury, rysy i spróchnienia. Więc dalejże narodzie płaczących wierzb, fujarkowego kwilenia i poloneza (w którym — jak wiadomo — raz na lewo, raz na prawo!), rozdłubywać, jątrzyć owe rany, smarować je siarką, żółcią i dziegciem — substancjami nie przyspieszającymi regeneracji, lecz znakomicie przedłużającymi stan zapalny i co za tym idzie ogólne osłabienie.

A przejawów osłabienia widocznych nawet „gołym okiem" na co dzień — aż nadto: astronomiczne nadużycia, rozluźnienie dyscypliny pracy, alkoholizm, trudności w wychowaniu młodzieży. A wśród wszystkich plag społecznych nie ma ani jednej takiej, w obliczu której władze, „czynniki" i co najważniejsze — całe społeczeństwo nie wołałoby na ratunek nauczyciela. Czyli że można rzec: prawie pierwsze miejsce w narodzie, arsenał zaufania i moc powstrzymywania żywiołów. A przy tym wszystkim — „żołnierz bez amunicji", dla którego równie właściwie przygotowane jest miejsce w cieniu narodowej wierzby płaczącej. Bo w tej chwili sytuacja jest istotnie niewesoła: niskie wciąż jeszcze uposażenie, konieczność „dorabiania" na życie, często wprost tragiczne warunki mieszkaniowe, borykanie się z nazbyt wielką liczbą godzin przewidzianą w etacie, a ciągle jeszcze (o paradoksie!) nazbyt małą dla zupełnego zrealizowania materiału zawartego nawet i w tych nowych programach.

A model polskiej oświaty — wciąż jeszcze w stadium dyskusji. Kiedy można się spodziewać jej końca i oddania modelu do użytku? A sprawa przedłużenia nauki w szkołach średnich ogólnokształcących także w toku dyskusji. Kiedy nastąpi jej koniec?

Już ten tylko niepełny rejestr spraw niedopiętych nawet na przedostatni guzik zdolny jest wyposażyć absolutnie i dożywotnio każdego nauczyciela we własny kompleks bezradności. Tylko że kompleksy przeszkadzają w życiu, zadowolenia zaś i efektów z pracy dopuszczają co najwyżej za... dwa soldy.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że jeśli jeszcze w roku bieżącym nie zacznie się przełamywać i w latach najbliższych nie zakończy ów — nazwijmy to eufemistycznie — kryzys, to grozi nam... przyzwyczajenie do tej sytuacji i zastygnięcie na dłuższy okres w pozycji z rozłożonymi na znak beznadziejności rękami. A rozłożonymi rękami można co najwyżej jeszcze pomachać w powietrzu.

Wielu powiada: „słusznie, z uzasadnieniem wymagają nauczyciele od państwa i społeczeństwa, ale trzeba powiedzieć teraz, czego wymaga społeczeństwo od nauczycieli i co oni sami powinni zrobić na własnych podwórkach". Tu następuje zwykle pokaźny spis rzeczy organizacyjnych i moralnych, z którego niejedno dałoby się wykreślić albo przynajmniej rozłożyć na jeszcze inne czynniki... kompetentne.

A tymczasem nikt inny, tylko właśnie nauczyciele, w całej swojej „oddolnej" masie przypuścili szturm na złe programy, zafałszowane podręczniki, na częste praktyki odwoływania pedagogów od ich zajęć (na rzecz stonki i makulatury). Wiosenny, nabrzmiały problemami Zjazd Oświaty i zmiany programowe, i nowe już gotowe bądź też będące w toku opracowywania podręczniki, i zapowiedź generalnej reformy oświatowej — to przecież dzieło niczyje inne jak właśnie nauczycieli. A jeśli możemy stwierdzić optymistycznie, że przełamywanie kryzysu już się właściwie zaczęło, w takim razie zobaczmy w tym także i lepsze w roku bieżącym, w porównaniu z poprzednimi, wyniki egzaminów maturalnych i wstępnych na studia wyższe, i wcale nie błahe osiągnięcia w walce z uświęconym praktykami lat ubiegłych werbalizmem, i widoczne zwycięstwo w bataliach z narosłym (o wstydzie!) problemem... ortografii.

Osiągnęli wreszcie nauczyciele to, że program literatury nie straszy bezwartościowymi, oschłymi produkcyjniakami, z których niesposób zaszczepić ani socjalizmu, ani estetyki, ani stylistyki. Osiągnęli to, że wykaz literatury programowej ni paraliżuje obowiązującą cyfrą: „Pan Tadeusz — 5 godz. lekcyjnych, „Lalka" — 3 godziny.

Do programu historii wkroczył znów pouczający i piękny świat starożytny, czyny dawnych władców mierzy się racjami stanu ich a nie naszej epoki.

To już oczywiście wiele i bądźmy spokojni: pierwsze wyniki nie dadzą na siebie długo czekać. A dalej?

Wkraczamy oto w nowy rok szkolny. Na Lubelszczyźnie zaznacza się on przyjściem do samych szkół średnich ogólnokształcących czterech i pół tysięcy młodzieży (o 200 dzieci więcej niż w roku ubiegłym), zwiększoną o 12 liczbą oddziałów klas VIII. A więc dalszy wzrost. W górę serca. Aby tylko starczyło zapału, szlachetnego uporu, żarliwości. Tymczasem zaś, żeby duch był mocny, wiedza coraz rozleglejsza, a gotowość społeczna permanentna, potrzeba właściwie zupełnie elementarnych rzeczy: całych butów, dachu nad głową, czasu na sięgnięcie do półki z książkami. Ostrożnie, bo za krok — utopia! Podwyższyć płace, obniżyć liczbę godzin, zbudować dużo nowych mieszkań. Na to wszystko trzeba by ze 20 miliardów złotych, akurat tyle, ile rozkradają rocznie „nasi" podziemni kapitaliści. A przestaną rozkradać wówczas, gdy całe uczciwe, uświadomione społeczeństwo przeciwstawi się temu rabunkowi. A całe społeczeństwo stanie się zasobne w uczciwych ludzi — dzięki ofiarnej, niezmordowanej pracy nauczycieli. To już nie polonez, to

(Dokończenie na str. 2)

ANNA MARKOWA

Odrzutowce nocą

Nie mogę zasnąć, jeśli nie odprawię osobliwego misterium. W godzinie, która ma być ostatnią przed snem — gaszę nocną lampkę stojącą na stoliku przy tapczanie i zbliżam się do okna. Przysuwam krzesło i opieram podbródek o chłodny parapet. Ekran, który mnie teraz łączy z nocą, jest pełen srebrnego światła. Księżyc, trochę ucięty przez fabryczny komin — hipnotyzuje łagodnie. Nie jestem lunatyczką, ale on naprawdę nigdy nie bywa banalny. To tylko my uczyniliśmy go takim przez nasze kiepskie wiersze i smutne szlagiery.

Jest cisza. Wbrew logice nazwy określam tym słowem wszystkie głosy wysyłane na ekran okna przez usypiające miasto. Jak zwykle gwizd pociągu. Tak naprawdę przypomina tylko to, że w pobliżu znajduje się dworzec kolejowy. Chaotyczna wędrówka sąsiada po skali aparatu radiowego i oczywiście płacz dziecka. Znacie przecież te rzeczy. Nie warto już o nich mówić.

Nagle w granice ciszy wdziera się coś obcego. Szybki, głuchy huk przelatuje aksamitnym niebem, oddala się i opada. Wtedy na ekranie mojego okna pojawiają się rzeczy, których naprawdę nie ma. To nie odrzutowce. Kamienne ciężkie rzeźby znad drzwi jednego z kościołów zerwały się i spłoszone przelatują tam w górze. Kiedy myślę, że są już daleko — wracają. Największy kamienny ptak, ślepy pocisk — trafia we mnie. To boli. Nie myślę o niczym. Wszystko zaciera się i tylko czuję, jak cienką strużką wypływa ze mnie cisza. Zostało jej już tak niewiele. Zaledwie wystarczy, żeby zaprotestować milcząco. Szybkim ruchem ręki naciskam kontakt. W krzykliwym świetle zamyka się wokół mnie ochronny sześcian pokoju.

Sobota

— Czekam na sobotę — powiedziała. — Zawsze czekam na sobotę — Obejrzałam się nieznacznie. Światło jeszcze nie zgasło, było dopiero po pierwszym dzwonku. Siedziała tam, w drugim rzędzie balkonu. Niemodna brązowa torba z chropawej skóry i mała, nieforemna paczuszka z cukierkami na kolanach.

Ze sceny padały już pierwsze kwestie, ale zagłuszał je ustawicznie szelest. — Cisza! — To było raczej nabrzmiałe grozą syknięcie. Po chwili ten sam głos dodał: — To znowu ci na bilety zbiorowe. Te związki. — Ostatnie słowo zabrzmiało jak najbardziej wyszukany epitet. Szelest ucichł i zapomniałam o niej zupełnie. Gdy zapaliło się światło, siedziała bez ruchu, ściskając w palcach do połowy rozwinięty cukierek. — Co ty, Wandzia, nie zjadłaś? — zapytała wysoka, ruda dziewczyna z sąsiedniego krzesła. Wtedy ona szybko odwróciła twarz w drugą stronę, żeby tamta nie mogła zobaczyć wybuchającego od szyi rumieńca, i rzuciła z zakłopotaniem — Czekaj, czekaj, zaraz zjem. Pewnie że zjem. — Potem wstała i wyszła do hallu.

W jarzeniowym świetle, między białymi kolumnami — wydała mi się jeszcze mniejsza i zupełnie czarna, jak skurczona, wyschnięta poczwarka. To pewnie od tej sukni, czarnej i aksamitnej, wytartej na łokciach. Z aksamitnego worka wyrastała kruchutka szyja, ozdobiona błyszczącymi koralikami. Groteskowy przepych tych koralików sąsiadował ze srebrnym łabędziem, wpiętym w materiał wysoko, prawie pod samą szyją. — Popatrz, jak się ubrała! — To był ten sam, wyrazisty głos, przeplatany westchnieniami grozy i śmiechem. Właścicielka głosu miała piękną rezedową suknię. W ogóle była piękna, nawet teraz, w widmowym świetle jarzeniówek. Popatrzyłam na poczwarkę. Uśmiechnęła się. Tak, naprawdę uśmiechnęła się i delikatnie, dwoma palcami

strzepnęła aksamitną suknię. A potem powoli, bardzo powoli ten uśmiech krzepnął i wreszcie komicznie wykrzywił wąskie usta. Drobniutko, frasobliwie biegła po schodach na górę.

Kiedy pod naporem oklasków kurtyna podniosła się jeszcze raz, znowu spojrzałam za siebie. Siedziała z przymkniętymi oczami, z rękami bezwolnie opartymi na brzuchu, mocno wpierając stopy w podłogę. Tak siedzą one wszystkie, zmęczone pracą, która zamazuje twarz i żłobi bruzdy na rękach. Niedbale rzucony program otworzył się na jednej z rycin Daumiera. To były zdaje się „Karty wolnego wstępu". Dwaj ludzie w podniszczonych surducikach, z twarzami nabrzmiałymi dumą, piankową radością chwili. Chyba to zresztą nie tak. Ale tak to wtedy odczytałam. A ona siedziała ciemna, wrośnięta w krzesło, jakaś większa i — tragiczna.

Przed dwiema godzinami mówiła: — Zawsze czekam na sobotę. Bo widzisz, Jaśka, w sobotę to i do teatru można czasem pójść i do kina albo co. I jest jeszcze cała niedziela. — Teraz wszyscy wstawali. Ona także, popchnięta hałasem, poruszyła się gwałtownie. Paczka z cukierkami pacnęła miękko, w tej samej sekundzie rozsypała się jej szeleszcząca zawartość. Program z Daumierem zsunął się za krzesło. Wyciągnęła rękę. Niezdarnie zgarniała z podłogi — rozrzuconą sobotę.

Makaron ze śmietaną

Mały, wysoko umieszczony wentylator obraca się leniwie. Nie daje to nawet złudzenia chłodu. Kasjerka w przybrukanym, ongiś białym fartuchu monotonnie znaczy nieczytelnymi hieroglifami prostokątne bloczki. Bloczki przylepiają się do spoconych palców. Przerywając nagle pisanie kasjerka zrywa się i z umieszczonego na ścianie wykazu potraw wyciąga kartonik z napisem: ryż ze śmietaną. Pozostaje tylko makaron za trzy dwadzieścia pięć.

Niosąc w jednej ręce talerz a w drugiej fajansowy kubek z kefirem — żonglując trochę niepewnie między stolikami. Osiągnąwszy cel spostrzegam, że kremowy blat jest jak zwykle brudny. Wilgotne plamy i nieład rozrzuconych talerzy po poprzednikach. Karczuję ręką wolny kwadrat, stawiam talerz i kubek. Źle umyty widelec kleistym dotykiem więzi palce. Chusteczką do nosa pracowicie wycieram trzonek. Wtedy właśnie czuję na sobie wzrok tamtego człowieka. Jak szarawy kamień w ostrym nurcie potoku sterczy nieruchomo między krzątającymi się ludźmi. Lewą dłoń niezręcznie opiera o wysoki blat. Wygląda to tak, jakby niechcący wyciągnął rękę i zapomniał ją potem cofnąć. Jest cały bezbarwny, wtopiony w tło dawno malowanych ścian. Dlatego trudno nawet powiedzieć, czy wygląda tak bardzo nędznie. Jego nieruchomość ostrymi igiełkami dreszczy przebiega mi po rękach. Boli mnie dotyk tłustawego trzonka widelca i dostojna krągłość talerza. Okropny jest ten makaron ze śmietaną. Niewyraźna maź rozgotowanych grubych rurek, zimnych i niedosolonych.

Człowiek patrzy. Czujnie obserwuje ludzi przy innych stolikach, potem wraca oczami do mojego. Lewa dłoń, naznaczona krzyczącą narośla żył, drga nieznacznie. Mam przed sobą już nie barową porcję, ale całe lepkie morze makaronu ze śmietaną. Wstaję od stolika. Mijamy się w drodze, tylko że on już na mnie nie patrzy. Bardzo szybko, zdecydowanie siada na moim miejscu. Jakby jednym skokiem wpadł w sam środek solidnego, pewnego siebie zaaferowania tamtych. Teraz już spokojnie zgarnia moim widelcem o zatłuszczonym trzonku — makaron ze śmietaną.

Biegnę Krakowskim Przedmieściem. Temu panu, którego minęłam w drzwiach baru — patrzyła z oczu mięciutka, puszysta dobroć. Pewnie już kupił dodatkowe bloczki i macha nimi jak bibułkową chorągiewką pojednania.

Bez amunicji pod wierzbą płaczącą marząc...

(Dokończenie ze str. 1)

walczyk z kółeczkiem. Kółeczko się zamyka, w środku łamiący sobie głowę nad rozwiązaniem trudności gospodarczych rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, z ministrem Oświaty włącznie.

„Władze i społeczeństwo powinny pomóc nauczycielom, od tej pomocy zależy poprawa bytu, poprawa warunków szkolnictwa w ogóle, ba — nawet podniesienie autorytetu społecznego pedagoga i wychowawcy". Och, ileż już napisaliśmy się na ten temat! Ile nagadano się już o tym na różnych konferencjach, sesjach, naradach. Pewnego dnia nawet, na pewnym spotkaniu padła ze strony nauczycieli już nie prośba nieśmiała, padł gorzki wyrzut pod adresem siedzących za prezydialnym stołem ojców miasta: „jak możecie pozwolić, żeby tak długo i bezskutecznie kołatali do waszych drzwi ci, którym w dużej mierze zawdzięczacie zdobycie wiedzy, a wraz z nią waszych dzisiejszych stanowisk".

Władze i społeczeństwo powinny... Słowo „powinny" nie ma w naszym kraju imperatywnego, zgodnego ze swoją etymologią znaczenia. Trąci prośbą o dobrą wolę i wyrozumiałość.

Spod wierzby płaczącej nad rozpasaną spekulacją i gospodarczym nierządem wyrwał się krakowski ZMS, wypowiadając w jednakowym stopniu zdecydowaną walkę nadużyciom i biadoleniom. Żeby tak które z województw (pomarzmy sobie przez chwilę, że to np. nasze) wyrwało się jako pierwsze z hasłem: „do porządku w społeczeństwie poprzez poprawę losu nauczyciela i szkoły!" A na początek wcale nie do Warszawy z transparentem „żądamy..." Tylko w ramach lokalnych możliwości. A więc większy rozdzielnik w Kwaterunku, dogodne warunki i pierwszeństwo w uzyskaniu dzierżawy („na 99 lat i 1 dzień") placów pod domek jednorodzinny oraz długoterminowy kredyt na tenże domek. Pierwszeństwo w remontach szkół i łaskawsze oko dla początków ich budowy w ramach czynów społecznych, pierwszeństwo w dostawie węgla, częste nagrody, awanse, wyróżnienia i zawsze miejsce dla nauczyciela tuż obok przewodniczącego rady za stołem... I żeby postanowiły związki zawodowe, że jedną z pierwszych form ich działania jest ścisła współpraca ze szkołą, i żeby podstawowe organizacje partyjne do swoich planów pracy wstawiły czerwonym ołówkiem: „członkowie POP — rodzice udzielają systematycznej pomocy szkołom, w których uczą się ich dzieci". I żeby na sesjach prezydiów rad pojawiał się przynajmniej raz na dwa miesiące temat: „potrzeby szkoły". I wszyscy by zrozumieli, że szkoła to bardzo ważna rzecz dla nauki i wychowania i wystarczyłoby dla zawstydzenia powiedzieć niesfornemu uczniowi: „pójdę powiedzieć o twoim zachowaniu w szkole"... A potem to już można by jeździć z referatami do innych województw i to nie na temat: „jak podnieść autorytet szkoły", lecz: „jak podniósł się autorytet szkoły"...

Marzenia trochę naiwne, jak to marzenia. Może to wcale nie tak powinno wyglądać zainteresowanie całego społeczeństwa i pomoc szkole?... Ale wolno chyba pomarzyć, dopóki nikt dokładnie nie wie jak, a szkoła i nauczyciel stale czekają na tę inwazję pomocy i zainteresowania.

Mirosława Knorr

Stalowa tęcza — idąca śmierć

WACŁAW GRALEWSKI

9 września zginął w murach Lublina od bomby hitlerowskiej Józef Czechowicz. Składając hołd jego pamięci redakcja „Kameny" zamieszcza fragment większej pracy Wacława Gralewskiego o życiu i twórczości autora „nuty człowieczej".

CZECHOWICZ w swoich nastawieniach psychicznych był katastrofistą. Obca mu była radość walki i zwycięstwa, obce idee jakiegokolwiek podboju. Nawet w poezji i w sztuce własnej obce mu były pojęcia zdobyczy czy osiągnięć — rzeczywistość artystyczną rozumiał jako niemal samoczynne stawanie się formy i treści.

Nie lubił sportu, nienawidził wojny — militaryzm budził w nim wstręt.

Wzór algebraiczny jego, zresztą bardzo skomplikowanego wnętrza, zawierał szereg niewiadomych, wobec których częstokroć stawał bezradny z grymasem przewrażliwionego dziecka, którego jedyną siłą są zaciśnięte silnie piąstki i łzy w dużych czarnych oczach. Na zewnątrz pozornie opanowany i spokojny, tracił łatwo równowagę, postawę samoobrony znajdując w odruchach bezradności.

Nie znaczy to jednak, że w nastrojach swych bywał zmienny.

Nastrojowość jego miała swój zasadniczy, można powiedzieć, podstawowy ton — załamania czy ekscytacje uczuciowe nie odbiegały od niego daleko.

Siłą, która ładowała go dodatnio, mobilizowała wewnętrznie i pobudzała do nieprzeciętnych wysiłków, było ekstatyczne niemal pragnienie sławy, funkcjonalnie wiążące się z poczuciem nadwartości własnego ja.

Atmosfera, w której Józef Czechowicz rósł i rozwijał się, zawierała elementy dramatu, a życie jego ojca miało posmak ibsenowskiej tragedii.

Mówił o nim mało i niechętnie.

Na przestrzeni kilkunastu lat, mimo łączącej nas serdecznej i wylewnej przyjaźni, mimo że zwierzał mi się z bardzo intymnych przeżyć, na temat ten mówiliśmy zaledwie parę razy i to w formie ogólnikowej.

I jak zdołałem skonstatować, przyczyną tego był jakiś specyficzny lęk.

Zresztą podobne nastawienia żywił i jego starszy brat, Stanisław. Była to jednostka niezwykle wybitna. Nie posiadając twórczego talentu tak jak Józef, przewyższał go rodzajem wnikliwej i niezmiernie żywej inteligencji, która zakresem swym ogarniała szereg najróżnorodniejszych dziedzin. Jeszcze jako uczeń szkoły średniej przyswoił sobie dokładnie w mowie i piśmie łacinę i grekę, studiował sanskryt i arabski a ze współczesnych języków poznał dobrze rosyjski, niemiecki, francuski i angielski. Interesowała go filozofia ścisła, literatura, socjologia, ekonomia. Tłumaczył Schopenhauera, pisywał artykuły polityczne, reagował silnie na każdy przejaw życia zbiorowego czy jednostkowego. Dwa lata spędził na froncie jako żołnierz Legionów, brał udział w kampanii 1918—1920 r., a po powrocie z wojny studiował prawo, należał do wielu stowarzyszeń, uprawiał sporty.

Bracia, w swoim życiowym wyrazie, różnili się zasadniczo: poeta Józef był typem infantylnym, filozof Stanisław stanowił świetnie rozwinięty, dojrzały okaz tzw. stuprocentowego mężczyzny.

Pierwszy, niezaradny i nieporadny, nie umiał często znaleźć wyjścia w najprostszych sytuacjach, drugi, przedsiębiorczy, zdecydowany i obrotny, był głową rodziny — opiekunem i wychowawcą swego brata, którego zresztą kochał nie tylko uczuciem braterskim, ale i ojcowskim.

Siostra ich Kazimiera stanowiła pomiędzy braćmi typ posredni.

Otóż o ile infantylizm Józefa usprawiedliwiał jego lękowość i dość nieoczekiwane reakcje, które na karb jego wrażliwości zapisać by należało, o tyle dojrzałość życiowa Stanisława gwarantowała rzeczowość w ustosunkowaniu się do każdego zjawiska czy zagadnienia.

Stanisław był sceptykiem — ironicznie traktował mistycyzm i wszystko z nim związane — doskonałym poczuciem humoru potrafił w kłopotliwej sytuacji postawić poważnie dyskutującego z nim przeciwnika. „Nadrealizm" Józefa, jego sny, marzenia i mgiełki poetyckie traktował pobłażliwie.

Stosunki braci były doskonałe, mimo że Stanisław grał rolę ojca, a Józef syna.

Na tle ich stosunków przypomina mi się pewien drobny, jakże jednak charakterystyczny epizodzik. Pewnego dnia pomiędzy braćmi wybuchła kłótnia. Powodem jej były bilety wizytowe, na których niepozbawiony poczucia snobizmu Józef kazał przy nazwisku wydrukować dodatki, które bynajmniej nazwisku rodowemu Czechowiczów nie przysługiwały. Dowiedziawszy się o tym, Stanisław stracił równowagę, uderzył pięścią w stół i krzyknął: — osioł jesteś! Ale widząc, że Józef zbladł i łzy zaświeciły mu w oczach, udobruchał się i pojednawczo dodał: — no, ale widzisz, ja lubię, bardzo lubię... osła! Powiedzenie to tak dalece rozładowało burzliwą atmosferę, że obaj bracia wybuchnęli śmiechem i rzucili się sobie w objęcia. Oczywiście Józef przyrzekł uroczyście, że owe niefortunne bilety zostaną zniszczone.

Stanisław poważne rozmowy — a pasjami lubił dyskutować — zaprawiał zawsze solą attycką bardzo błyskotliwych powiedzeń. Rozmowy suche, rozmowy uczuciowe i wylewne czy wreszcie dyskusje relacyjne pozbawione odpowiednich dygresyj były mu obce. W postawie filozofa ironisty wzorem dla niego był Ardengo Soffici.

I takim pozostał do końca swego, młodego zresztą, życia. Nawet w ostatnich chwilach, gdy śmierć mu już prawie sięgała do gardła, gdy na tygodnie można było liczyć jego życie, postawa ironisty nie opuściła go ani na chwilę.

Pewnej niedzieli siłą woli zwlókł się z łóżka i poszedł na spacer. Słońce świeciło, świąteczny tłum jak rzeka wypełniał koryta ulic. Dnia tego Lubelskie Towarzystwo Przeciwgruźlicze zorganizowało zbiórkę. Do kroczącego wolno Stanisława podbiegły dwie uśmiechnięte kwestarki: proszę, może pan pozwoli!...

Czechowicz spojrzał na nie, ukłonił się ostentacyjnie i odrzekł: — Dziękuję, już mam... gruźlicę! I rzuciwszy uśmieszek zdetonowanym panienkom poszedł dalej.

Otóż tego opancerzonego ironią filozofa udało mi się któregoś dnia (do spółki z Konradem Bielskim) wciągnąć w poważną rozmowę na temat śmierci i życia pozagrobowego. I Stanisław Czechowicz, zapaliwszy się w dyskusji, w pewnym momencie powiedział: — tak, mój sceptycyzm to w dużej mierze postawa samoobronna. Niechętnie mówię i myślę na tematy, które poruszamy w tej chwili. Ale skoro już zaczęliśmy mówić, no to opowiem wam coś, co stanowi w pewnej mierze tajemnicę rodzinną, a wiąże się ściśle ze śmiercią ojca.

Było to wkrótce po jego jakże tragicznym zgonie. Wracałem z jakiegoś zebrania dość późno do domu. I oto w momencie...

Mówiąc to Stanisław Czechowicz zbladł nagle ,zaczął się krztusić, porwał się z miejsca i wybuchnął spazmatycznym płaczem. Gdy po pewnym czasie uspokoił się, powiedział do nas smutnym głosem: — Parę razy robiłem próbę opowiedzenia tego zdarzenia i stale kończy się to fiaskiem. W momencie, gdy zaczynam dochodzić do sedna opowiadania, coś chwyta mnie za gardło... A przecież histerykiem nie jestem.

Byliśmy zdumieni i podekscytowani — przecież mieliśmy do czynienia nie z przewrażliwioną dziewczyną, ale z mężczyzną dojrzałym i opanowanym, który niejedno widział i niejedno przeżył. Do tematu tego nie powróciliśmy nigdy.

Ilekroć w późniejszych latach nawiązywałem na temat tego zdarzenia rozmowę z Józefem, wpadał on w silne zdenerwowanie.

— Nie mówmy o tym — to była jego zwykła odpowiedź. Raz tylko dodał: — Widzisz, z życiem mojej rodziny wiąże się coś, co jest okropne, a o czym naprawdę nie mam siły mówić. Nie dziwię się Staszkowi, że i on w tym wypadku nie był mocniejszy ode mnie. Jedno tylko mogę dodać — to sprawa śmierci, czającej się ciągle koło nas; boję się; nie miałbym siły spojrzeć w jej oblicze, gdybym tak znienacka był do tego zmuszony.

Znając to nastawienie Józefa Czechowicza i atmosferę rodzinną, w której żył, zdawałem sobie jasno sprawę z jego postawy poetyckiej, która tematycznie wykrystalizowała się w postać katastrofizmu.

Gdy ginie jednostka przeciętna, jest to jej prywatna sprawa, ale gdy ma umrzeć poeta, poeta o dużej sile twórczej, poeta namiętnie pragnący sławy, to staje się to zagadnieniem skomplikowanym. Wraz z jego śmiercią musi zawalić się duży kawał kosmosu...

Swoje gwałtowne pragnienie sławy zdradził Czechowicz podczas jednego z naszych nocnych spacerów po Lublinie. Była pełnia. Ogromny miesiąc pochylał się nad dachami miasta, rozdzierając czarne zasłony nocy. Dyskutowaliśmy zapamiętale właśnie na temat sławy, miłości i śmierci. W pewnym momencie Józef zatrzymał się, podniósł głowę do gory i jakby w ekstatycznym olśnieniu zawołał: —

— Jeśli jutro moje pomniki staną na placach głównych miast świata, dziś jestem gotów ponieść męczeńską śmierć!

Wyraz jego twarzy utkwił mi dobrze w pamięci. To nie był wybuch egzaltacji. Wykrzyknik ten był tylko wykładnikiem prawdy wewnętrznej, rzeczywistości, ku której Józef Czechowicz wyciągał jak dziecko swe nabrzmiałe pragnieniem ręce.

Mając lat 20 zaczął pisać „Opowieść o Hiramie czarnoksiężniku". Miał to być utwór mówiący o sławie i wielkiej katastrofie świata. Pozostały z niego tylko fragmenty. Jakże jednak charakterystyczne dla poznania duszy młodego twórcy.

Oto wyjątek z rozdziału pt. „Tęcza na księżycu":

„Spójrz na księżyc" rzekł ten sam głos. On jednakże spojrzał przedtem na tego, kto mówił mu te dziwne rzeczy. Szary człowiek, wsparty na czworogrannej hermie, wyglądał jak każdy w zmroku. Więc oczy zapłakanego wzniosły się ku białemu miesiącowi. A tam działy się cuda. Na bladym pół-łuku księżycowej tęczy w szalonym pędzie cwałowali jeźdźcy na widmowych siwych koniach. Gdy stanęli u szczytu tęczy, konie ich wspięły nad przepaścią, jak rumaki z jakiegoś mauzoleum. I wyraźny trzykrotny okrzyk zabrzmiał w kopule nocy: Sława! Sława! Sława! Znów runęli w cwał ze szczytu tęczy w dół, ku otchłani. Tęcza spurpurowiała, stała się obłokiem czerwonym i wszystko zginęło.

— To bieg wypadków jego życia — rzekł szary człowiek.

— Czyich?...

— Twego syna w tej godzinie narodzonego. Zginie we krwi.Lecz szczyty jego losu ponad wszelką sławę ludzką i ponad wieki".

A oto komentarz własnoręczny do „Hirama" w liście z dnia 14 maja 1923 roku, pisanym do mnie z Włodzimierza.

„Spostrzegłem rzecz ciekawą; żaden z owych dramatów nie opiera się na konflikcie z twórczością. Mnóstwo ludzi dręczyło się tym, że są inni, mniejsi niż ich dzieło. Skarżyli się na kontrast ich codziennego życia z twórczością. Co do mnie, tak jestem spleciony z moimi pomysłami, że nie umiem ich odłączyć od siebie. To, co Ci opowiadałem, to znaczy trzecia część „Henryka", bajka o Czarnoksiężniku, była chybionym pomysłem. Ze wszystkiego, co było w niej, zachowałem tylko postać Hirama, czarnoksiężnika. Przyjedź tylko a opowiem Ci mój nadludzki poemat i sam osądzisz, czy nie mam prawa tak go nazwać. W ciągu całych miesięcy przepracowuję ten temat w umyśle na arcydzieło. Sceny pojedyncze rodziły się w Wilnie, gdym chodził nocą wśród elektrycznych reklam tancbud, kin i teatrzyków. Inne w lasach wołyńskich ,jeszcze inne, gdy pociąg z Litwy gnał w noc gwiaździstą ku południowym kresom Rzeczypospolitej. Pomysł monumentalny obecnie ponad moje siły. Gorączkowo kreślę całe sceny i drę, drę w szewskiej pasji. Na miły Bóg, dajcie mi, ludzie, do tych gigantycznych malowideł formę taką, jakiej mi potrzeba...! „Moreau" Klabunda to parodia tego stylu, o którym marzę, jego sceny to li-ryki, a ja chcę dramatu. Tam w pomyśle moim jest kilku nadludzkich ludzi i każdy jest czerwoną tragedią. Los i fakty spiętrzą się ich rękoma wznoszone ponad cały świat i ponad nich, aż runie wreszcie wieża babelska. Tu będzie cała synteza poezji między szczytem i otchłanią. Kto zostanie po pogromie, nie półbogiem będzie, lecz półczłowiekiem — duszą kostniejącą za życia!!!"

Motywy sławy i kataklizmu przewijają się silnie zarówno w pierwszym wczesnym okresie twórczości Józefa Czechowicza, jak i w późniejszych. Stanowią dwa koryta, którymi płyną dwa głębokie nurty jego bogatej indywidualności. Czasem zlewają się w jeden potok, czasem płyną równolegle lub przecinają nawzajem swe biegi.

W młodzieńczej „Opowieści o papierowej koronie", drukowanej w czerwcu 1923 roku na łamach „Reflektora", znajdujemy w części zatytułowanej „Wieczór ze sobą" takie fragmenty:

„Henryk mówi: Zbyt mało może człowiek i aż nazbyt wiele... W taką noc nie może zwyciężyć samego siebie, nie może głębiny swej piaskiem zasypać. Nawet, jeśli tam brud, nawet jeśli tam błotnisty grzech... I tysiąc istnień sobie podobnych może zniszczyć: ogniem, dłonią krwawą, żelazem. My tu daleko... Wichry wieją wieczne na tej wysoczyźnie, więc nie słychać pochodu. A gdy spojrzę na ciemne horyzonty, wiem, że przyjdzie stamtąd nawałnica. Zadudnią po drogach cielska dział i zatętnią kopyta hordy. Może przyjść dzicz i w cichą noc rozżagwić niebo łuną. Zginą miasteczka nad smutnymi jeziorami, zgliszcza zostaną z wiosek. I krew!... jak wiele krwi... To może człowiek... Za wiele! za wiele! I tak mało człowiek może... Nie odepchnie obłąkania, które się zbliża ku niemu szybkimi krokami. Nie pokona lęku przed Nieznanem..."

Albo znów w tejże „Opowieści o papierowej koronie" w rozdziale pt. „Teatr w duszy" czytamy takie słowa: „wszystko zbliża się ku śmierci i wieczności (może nicości). Przyjdzie ona mimo wszystkie zmagania nasze".

Józef Czechowicz nie znał walki z losem, nie znał zmagania ze swoją dolą. Jego czynem były jego poetyckie sny.

Gdy w innym miejscu „Opowieści o papierowej koronie" jedna z jej postaci, Zygmunt, namiętnie pyta: „A czyn, czyn? — Czyny są w marzeniu — z niewiarą i z niechęcią odpowiada Henryk".

I tej młodzieńczej dewizie pozostał wierny przez całe życie.

Pragnienie i potrzeba sławy, lęki, trwoga, śmierć i kataklizmy poprzez szereg lat prac twórczych zwolna nabierają wyraźnych form i stają się głównymi akcentami całego poetyckiego dorobku Józefa Czechowicza.

W wierszu „We czterech", będącym artystycznym manifestem przyjaźni, łączącej Józefa z towarzyszami „Reflektora", padają słowa jakże znamienne:

„w kurzawie runęły groby i ołtarze,
tak ogromny jest lot ku Sławie..."

(Ciąg dalszy na str. 5)

JAN NAGRABIECKI

Repatriantom polskim

Ślady polskich nóg
zasypał piasek i śnieg,
a było ich wiele.

Od Uralu po Pireneje —
takie to były
takie to
takie
dzieje.

Krok brzęczący łańcuchem,
pod karabinem, z psim warkotem u nóg,
szedł różnymi drogami do Polski
każdy, kto tylko chodzić —
kto tylko chodzić jeszcze mógł.

Od Uralu po Pireneje
przeklęte niedawne
zawsze te same
zawsze te
zawsze —
dzieje.

Ślady polskich nóg
zasypał piasek i śnieg,
a było ich wiele.

Ślady polskich nóg
zasypał —

lecz nie zasypał serc,
lecz nie zasypał serc!

Sartre i Giraudoux

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

W przypadku, jaki związał niedawno w czasie pierwsze polskie wydania wyborów dramatów Sartre'a i Giraudoux *), trudno nie upatrywać głębszej motywacji — obaj bowiem pisarze i ich sztuki są bardzo reprezentatywni i symptomatyczni dla rozwoju współczesnej europejskiej sztuki scenicznej.

Wprawdzie, poza chętnym podejmowaniem przez nich tematyki antycznej (dowodzą tego przedrukowane we wspomnianych tomach „Muchy" i „Elektra"), nie znajdujemy na pozór u Sartre'a i Giraudoux wspólnych a pierwszoplanowych sympatii ideowych i artystycznych — niemniej klimat intelektualny, charakteryzujący ich sztuki, ma swe najistotniejsze przyczyny w tym samym, trochę kartezjańskim, a trochę wolteriańskim racjonalizmie. Do tego są to utwory tyleż nowatorskie, co tradycyjne; ci, którzy oglądali niedawne spektakle teatru Villara i Komedii Francuskiej w Polsce, najlepiej chyba zrozumieją, jak bardzo zespolenie awangardowego zapału z kurtuazją dla przeszłości odpowiada — używając trochę trącącego myszką określenia „duchowi galickiemu" w kulturze świata.

Z nich dwóch Sartre jest na pozór bardziej pryncypialny: czytając jego sztuki nie możemy się opędzić od natrętnej informacji, że obcujemy z twórczością nie tylko pisarza, ale i filozofa — i to idącego w czołówce egzystencjalizmu, jednego z najbardziej wpływowych dziś (szczególnie wśród inteligencji) prądów intelektualnych. Toteż nad wrażeniami z lektury „Dramatów" góruje odczuwana przy percepcji „Much" i „Przy drzwiach zamkniętych", tak bardzo właściwa egzystencjalistom gorycz smaku istnienia, niezadowolenie z życia, które jednak nie łagodzi, przeciwnie: zaostrza uczestnictwo w rzeczywistości, przejmowanie się (mimo drwin i ironii) sprawami, a nawet radościami świata tego. Stąd wynika obecność w polskim tomie Sartre'a dwóch dramatów **par excellence** politycznych: „Ladacznicy z zasadami" i „Niekrasowa"; laicka eschatologia Sartre'a ujawnia się tutaj w podtekście dowcipnych i błyskotliwych rozgrywek między stronnikami postępu i reakcji — w najbardziej szerokim sensie, jaki można nadać tym ogranym sformułowaniom.

Sceptyczny dowcip i totalna ironia — oto dwie wartości, które uznaje również Giraudoux. Jest to w ogóle pisarz, którego sztuki pokrywa o wiele grubsza patyna intelektualnej ogłady i tradycji, niż dramaty barbarzyńskiego niekiedy Sartre'a. Czyżby Giraudoux nie rozumiał politycznego i społecznego tragizmu współczesności? Przeczy temu nie tylko sucha uwaga, kończąca notę biograficzną umieszczoną w polskiej edycji jego sztuk: **aresztowany przez gestapo, umiera — już na wolności — 31 stycznia 1944 roku, na uremię spowodowaną odbiciem nerek** — przeczy temu przede wszystkim faktura jego sztuk, w których Giraudoux z namiętną dociekliwością rozważa, nieobcą i Sartre'owi, problematykę konfliktów międzyludzkich. Znamienne dla autora „Ondyny" jest przeprowadzanie owych rozważań z reguły na dwóch płaszczyznach: doczesnej i fantastycznej, jak gdyby sama tylko motywacja ludzka, która krąży w orbicie codziennego życia człowieka, nie wystarczała dla możliwie najbardziej uniwersalnego objęcia problemu. Jeśli w „Ladacznicy z zasadami" i „Niekrasowie" Sartre atakuje zagadnienie konfliktu międzyludzkiego wprost, w kategoriach nieledwie dziennikarskich, Giraudoux nader chętnie mitologizuje obserwowaną rzeczywistość, z laicką ironią odmawiając jej atrybutów nie tyle sensowności, ile rozwagi i rozsądku.

Ale najbardziej ciekawą sprawą w sztukach Sartre'a i Giraudoux są najistotniejsze elementy dramatów każdej epoki — ich bohaterowie, ludzie. W konstrukcji postaci scenicznej najpełniej ujawniają się zresztą różnice w spojrzeniu na świat i sztukę obu dramaturgów — różnice, które spychają na drugi plan obecne przecież i tutaj między nimi pokrewieństwa i podobieństwa. Wspomniałem już o Kartezjuszu i Wolterze, którzy chyba najbliżej znajdują się racjonalistycznej kolebki, w jakiej rodzą się postacie Sartre'a i Giraudoux. Tutaj zresztą Sartre okazuje się bardziej surowym i bezwzględnym twórcą, aniżeli Giraudoux; nawet w je-

(Dokończenie na str. 6)

*) Jean Paul Sartre: *Dramaty*. Warszawa, 1956 PIW, s. 523, 1 nlb. Giraudoux: *Teatr*, Warszawa, 1957, PIW, s. 718, 2 nlb.

TRUDNE POCZĄTKI

(Dokończenie ze str. 1)

kło pieniędzy. I teraz do Polski zabieram ze sobą sto lei.. Na szczęście! — Z zawrotną sumą tysiąca lei ruszyłam do telefonu. Trzeba wiedzieć, że kiedy objeżdżałam Rumunię z pogadankami, odbywały się one staraniem związków kobiecych i na ich zaproszenie, toteż i w Czerniowcach miałam mnóstwo znajomych. Niestety, spis ich pozostał był daleko za mną, razem ze wszystkim, co posiadałam, ale przypomniałam sobie nazwisko przewodniczącej Związku Kobiet Prawosławnych, pani Vetturii Gramatovici. A nuż ma telefon? W małej traktierni posłyszałam błogosławioną odpowiedź: „Pani?! Boże, na panią czekaliśmy przez wszystkie te okropne dni waszego nieszczęścia. Niech pani w tej chwili przychodzi do nas na jak długo pani chce. Czekamy." — Kiedy pół godziny potem zajechałam na miejsce, przed domem stali Gramatoviczowie z córką. Oddali mi pokój córki, obronili przed żandarmerią, która zaganiała wszystkich Polaków do obozów w głębi kraju, karmili i poili czym mogli. Od nich zadepeszowałam do trzech miast rumuńskich: „Jestem bez pieniędzy, bez dachu, proszę o pracę". I z trzech miast otrzymałam natychmiast oferty posad.

Z pierwszymi dniami pobytu mego w Cluj (Kluż) łączy się dla mnie dziwna „przygoda wewnętrzna". Otóż wiosną 1939 roku zjawiła się u mnie pewna zupełnie mi nieznana, jasnowidząca czy też nawiedzona. O ile wiem, zwykle w latach wojen i klęsk zjawiają się takie nienormalne osoby, prorokują i straszą lub dodają otuchy. Była to młoda dziewczyna ze sfery drobnomieszczańskiej, nie odznaczająca się żadnymi specjalnymi cechami zewnętrznymi: ani ubiorem, ani zachowaniem. Tylko, kiedy się jej zadawało jakieś pytanie lub kiedy wypowiadała trochę ważniejsze zdanie, zdawała się nadsłuchiwać. Widywała ona różnych świętych, słyszała „głosy", a specjalnie obcowała z pewną beatyfikowaną zakonnicą, którą nazywała „Święta Pani". Pytałam jej, dlaczego do mnie przyszła. „Głosy moje mnie przysłały", odpowiedziała. „Czy ma pani dla mnie jakie zlecenie? przestrogę? upomnienie?" — „Nie, nic nie mam". Dałam pokój pytaniom, zaprosiłam nawiedzoną na obiad, do teatru. Było mi jej żal. Zdawała się uginać pod ciężarem ponad siły ludzkie, taka młoda! Przed rozstaniem powiedziała mi, że wojna jest bardzo blisko, że Polska będzie po stronie zwycięskiej, że Austria i Czechosłowacja będą odbudowane, że straszliwa moc ludzi w Polsce zginie, „całkiem jakimiś nowymi sposobami, wymyślonymi przez Niemców". Tyle się gadało o wojnie! Poszła. Zapomniałam o nawiedzonej najzupełniej, tylko w torebce miałam obrazek „Świętej Pani", który od niej dostałam i który przypadkowo wraz ze mną odbył ewakuację...

Wolę nie mówić o tym, jak mi z początku było w Cluj. To się nie da opisać i tej samotnej desperacji — sama przecież nie chciałam iść do obozów polskich! — nie warto wywoływać na „planie wieczności". Wychodziłam z domu i wędrowałam po mieście rozbijając się i o zabudowane, i o niezabudowane przestrzenie jak ślepiec. Nienawidziłam pięknego domu i pięknego widoku, jaki stał się moim udziałem, pogardzałam głęboko zbytkiem, w jakim się znalazłam. To, że było mi właściwie „lepiej niż w domu", stało się jednym udręczeniem więcej. Nie chciałam za nic uczyć się po rumuńsku ani starać się rozumieć języka. 25 września byłam już nauczycielką w domu gubernatora połowy Siedmiogrodu. Skamieniała przed radio, przeszłam wszystkie fazy rozpaczy. Byłabym chętnie zabiła dobrotliwych, bogatych, rozpieszczonych przez los ludzi, którzy, trudno im to brać za złe, nie mogli przecież powiesić się z powodu naszej klęski. Szkoda zresztą gadać! Dość, że któregoś dnia, w czasie takiej bezplanowej samotnej włóczęgi po kocich łbach samotnej beznadziei, nagle, jak błysk oślepiający spadło na mnie przypomnienie „proroctwa" nawiedzonej dziewczyny. „Polska zwycięży w końcu, jeśli będzie po dobrej stronie"... Że była „po dobrej stronie" nie wątpiłam... Skąd się bierze taka nagła, bezapelacyjna wiara?! Zeszło na mnie poczucie cudu, którego stałam się przedmiotem: oto co znaczył głos polecający nawiedzonej mnie odwiedzić. Miała mi dać w najgorszej godzinie życia pewność zwycięstwa Polski. Odetchnęłam, pojaśniało mi w oczach. Zobaczyłam wkoło siebie piękny, żyzny, gościnny kraj, „suchą ścieżkę", na którą wyniósł mnie przypadek, ogromne pole pracy w „najszerszych kołach" obcego społeczeństwa, dobrodusznych gospodarzy, śliczne dzieci, i — zgodnie z tradycją urzędu, w którym pracowałam — poczułam się „akredytowana przy królewskim gubernatorze w Klużu". Natychmiast też przystąpiłam do nauki języka rumuńskiego.

Obok pałacowej willi gubernatora, na wysokim pagórze nad willową dzielnicą miasta (160.000 mieszkańców) stała skromna willa innego profesora uniwersytetu (w owym okresie wszyscy polityczni mężowie rumuńscy byli albo adwokatami, albo profesorami uniwersytetu), historyka medycyny, Walerego Bologi. Miał ów uczony człowiek niezmiernie uroczą matkę, nazywaną ogólnie Majka Lucia, starą kobietę, weredyczkę o złotym sercu. Otóż wzięła się ta stara kobieta przychodzić do mnie po sąsiedzku codziennie na godzinę, by mnie uczyć dźwięcznego, półlatyńskiego swego języka. Czyniła to z niezmienną cierpliwością przez cały rok. Nauka polegała po prostu na tym, żeśmy najpierw czytały wspólnie cykl artykułów o polskiej klęsce. Artykuły były pióra jakiejś dzielnej korespondentki, która wyjechała z Warszawy dopiero po wzięciu miasta przez Niemców. Potem już tylko poezje wielkiego Eminescu. Majka Lucia nie uznawała żadnych fanaberii ani pieszczenia się. Mieszkała w osobnym pokoju bez żadnych „wygód", sama szorowała podłogę; na przemian czytała astronomiczne dzieła i gotowała najprostszą strawę. Potrafiła zejść i wejść na pagór, na którym stał dom, ze trzy razy dziennie. Przyjmowała na nocleg w swojej sionce włóczęgów żebraków, o ile w zimie mróz był zbyt duży, by można było zanocować na dworze, a przez jakiś czas brała do siebie na cały dzień dziecko robotnicy na to, by matka mogła iść spokojnie do pracy. Kładła malca na dywanie pośrodku pokoju, „żeby nie mógł spaść", i cieszyła się, że „tak pięknie krzyczy". Miała rysy nieco przypominające cesarza Nerona (Neron był w zasadzie przystojny!) i w ogóle kiedy przebrała się świątecznie i włożyła precjoza, wyglądała trochę jak jaka chłopska królowa. Kiedy konwencją wiedeńską przyznano północny Siedmiogród Węgrom i ponad 40.000 Rumunów opuściło Kluż, jeszcze bardziej podobna do królowej, odeszła za wozem zaprzężonym w woły, wiozącym meble i skrzynie, a nawet w chwili wyjazdu żegnającym ją znajomym rozdawała jeszcze śliwki i orzechy włoskie, rosnące w sadzie koło domu.

U gubernatora nieraz bywali goście nader znakomici. Wtedy naturalnie nauczycielka nie bywała dopuszczona... Miała wówczas ucieczkę najpewniejszą — od uczucia zaskoczenia i obcości — w domu innej znów też zupełnie starej kobiety, baronowej Jożyka, wdowy po ministrze węgierskim przy osobie cesarza austriackiego i byłej damy dworu cesarzowej Elżbiety. Nieopisanie subtelna i wykwintna, urocza Ireneni (ciocia Irena) była ze swymi 88 latami tak krucha, że nie opuszczała sofki w salonie obstawionej kwiatami jak ołtarz. Miała prostotę prawdziwie wielkiej damy. Wszystko, co nie było cesarsko-królewskim dworem, było jej właściwie trochę obce, a więc w jej oczach na jednym i tym samym poziomie. Nie mogła słuchać o niczym smutnym, bo natychmiast serce zaczynało w niej zamierać, toteż pielęgnowała w sobie i w innych humor. Z tego punktu widzenia obcowanie z nią było dla mnie niezwykle zbawienne. Kiedy zwierzałam się jej — zresztą pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy, ze względu na lojalność wobec moich „państwa", z różnych moich szoków domowych, śmiała się tak serdecznie, jak widz w teatrze z komedii obyczajowej. Była tak poza tego rodzaju światem, pamiętała tak inne domy i salony, że nie umiała sobie wyobrazić, że można podobne przygody jak moje brać na serio. Dobroć jej, tak jak dobroć Majki Lucii, nie miała żadnych rozsądnych granic; cieszyła się do każdego człowieka, który stawał przed nią, i interesowała się nim, jakby był jej najbliższym krewnym. Wspomnienia jej były jak wieniec najpiękniejszych kwiatów: nic jej się nigdy złego nie stało, nikt jej nie skrzywdził; leciutką ręką wyrzucała wszystko, co mogło ją zadrasnąć, jak okruszynki z jedwabnej pościeli. Nazywałam ją „Białą Różą", który to kwiat rzeczywiście nadzwyczaj przypominała, i — białą różę prawdziwą położyłam jej — umarłej, na poduszce, obok warkocza wspaniałych srebrnych włosów. Bo umarła prześliczna wielka dama omal że nie na moich rękach, na skrzep, lekko i starając się ani siebie, ani nikogo nie zasmucić aż do końca.

Kiedy raz zajrzę do tego pokoju w wieczności, w którym stoją obok siebie moje przygody w Klużu, to już nie ma końca. Widzę i muszę opisywać; po prostu Remington sam pisze, nie mogę go dogonić... Więc niech jeszcze opowiem o Marii, choć to po prostu była kucharka, zresztą może i nie kucharka, ale raczej gospodyni, a jeszcze ściślej szef dynastii Lapuszanów, panującej od szeregu lat nad rodziną, którą obsługiwali. Wieś Dżileu ma pięć kilometrów długości, a najpiękniejszy w niej dom z rzeźbioną bramą i wspaniałą stodołą wybudowali Lapuszanowie. Gheorghe, Dumitru, Anika, Gheorghica, z mężami i żonami podlegają bezapelacyjnej władzy Marii. Kiedy w domu na pagórku coś szwankuje, zapada decyzja dobrania jeszcze jednej osoby służebnej; przybywa wtedy nowy członek dynastii: Anuca, Vasile, Mariuka. Na podwórzu, w ogromnym kotle smażą się gargantuyczne zapasy powideł i marmolad, w basenie pływackim w ogrodzie pierze się pyszne wschodnie dywany, które potem powiewają schnąc na wszystkich balkonach, piele się ścieżki, suszy owoce. Maria ręce i stopy ma tak małe, że niepojęte jest, jak może tyle nimi urobić i tyle się nabiegać.

Ach, to objęcie posady! Uroczysty, strasznie zajęty pan domu w szafirowym mundurze, elegancka młoda pani lubiąca muzykę i teozofię. Śliczny pokój ze ślicznym widokiem, niepojęte, dzikie, piękne dzieci mówiące niezrozumiałym językiem, obfitość wszystkiego naokoło: śliwek, kwiatów, służby. „Może pani, po swoich trzech godzinach z dziećmi, robić co się pani podoba: dawać lekcje, przyjmować znajomych w małym saloniku". A wieczorem obok mnie, siedzącej bezmyślnie w moim pokoju przy stole — Maria. Maria klęczy przy mnie na podłodze i szlochając mówi mi swoim cudacko łacińskim żargonem, który prawie że rozumiem, same czułe, dobre rzeczy, świadoma, że jest jakaś luka w domu, której nikt nie zapełnił odpowiednimi słowami, że ktoś z domowników powinien coś wykonać dla tej obcej, żeby jej było lżej. Maria wie zresztą zawsze i nieomylnie, co i jak powinno być, wie, jakim winien być i Pan, i Pani, i dzieci, i służba, i nawet pies, i nic w niej tego prawzoru bycia zmienić nie potrafi. Maria wie, że biedny powinien być nakarmiony, toteż w latach obfitości stosy wszelkich zapasów szły z domu na wszystkie strony. Ale Maria wie także, że pies ma być na łańcuchu, że słomy mu nie potrzeba i że mróz go się nie ima, i wierzy mocno, że jabłek zgniłych spomiędzy zdrowych wybierać nie należy, bo to „szkodzi". Maria przede wszystkim i za nic w świecie nie chce żadnej wojny o nic i, tak jak reszta mego otoczenia, nie rozumie, po cośmy się bili. „Niech choć i Cygan panuje", mówi cynicznie, „byle wojny nie było". W obecnych latach głodu Maria aż pochyla się pod ciężarem nierozumienia sytuacji i nieumiejętności zaradzenia jej, ona, która ma na wszystko radę. Z całego domu ona jedna nie może dostosować się do nowych warunków. Pan nie ma samochodu, piechotą chodzi pod górę? Pani nie jedzie latem nad morze? Dzieci nie wyjeżdżają na wyższe studia za granicę? Maria podpiera ciężką głowę na malusieńkiej spracowanej dłoni i obraca na mnie zdumione, pytające, ale zawsze wierne, oczy: „Pani jest uczona: pani niech mi powie, co teraz będzie?" A ja całuję Marię w rumiane policzki i mówię jej, że wracam do Polski...

Spisane w 1946 r.

Kazimiera Iłłakowiczówna

Stalowa tęcza — idąca śmierć

(Dalszy ciąg ze str. 3)

A więc w tej sławie, która jest potęgą wyzwalającą od grobów i ołtarzy, zawarty był krzyk namiętny acz młodzieńczy, krzyk wydobyty z głębi poetyckiej jaźni w momencie, gdy poeta był dopiero u progu swego okresu twórczego. A w kilkanaście lat później na krótko już przed śmiercią, gdy lęki i niepokoje przekształciły się w poczucie nadchodzącej śmierci, a obrazy kataklizmu nabrały cech jasnowidczych — w wierszu „to wiem", umieszczonym w tomie utworów pt. „nic więcej", znajdujemy taki zwrot:

potem obalę się jak wszyscy trup
i tak kiedyś zaleje sława
ciemnym złotem grób.

W akordzie tym brzmi rezygnacja wobec tego, co nadejść musi, a co stało się w granicach wewnętrznej rzeczywistości musem nieodpartym i nieodmiennym — ale sławę traktuje poeta jako pewnik. Następuje jakby zamiana wartości: żywych biologicznych na abstrakcyjne, lecz istotne, gwarantujące żywot nieśmiertelny. Poprzez sławę zwycięstwo odniesione nad fantomem śmierci.

Utajone w psychice Czechowicza lęki początkowo mają charakter jakby dziecinnych niepokojów, wyrażających się w formie spokojnej a nawet chwilami lirycznej.

W wierszu „na wsi" (w „Kamieniu", wydanym nakładem Biblioteki Reflektora, Lublin 1927) znajdujemy ciekawy akcent niepokoju:

Księżyc idzie srebrne chusty prać
Świerszczyki świergocą w stogach
Czegóż się bać

To na tło lirycznego opisu wsi i nocy rzucone jakby dziecinne pytanie jakże ma głęboką wymowę w zestawieniu z obrazami zawartymi w późniejszych utworach.

Ten liryczny niepokój, to pytanie będące, w transpozycji poetyckiej, odpowiedzią na głęboki nurt lęku, powoli krystalizującego się w postawę świadomą, przybierze już wkrótce formę wyrazistą.

„Autoportret", wiersz znajdujący się w tomie zatytułowanym „z błyskawicy", zawiera m. in. taki zwrot:

stanąłem na ziemi w Lublinie
tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga

To już świadome stwierdzenie istotnego stanu rzeczy, dominanty psychicznej. Za nim pójdą inne.

W wierszu „więzienie", znajdującym się w „Balladzie z tamtej strony", wydanej przez „Drogę" w 1932 r., poeta mówi:

maleją źrenice dnia
przysłonięte rzęsami choin
od myśli do myśli od pnia do pnia
pociemku chodzić się boisz

A dalej w tymże tomie w wierszu pt. „przeczucia":

zjawiska dawne nowe
dogasają ciemnoaniołowe
smuga sie leje powolna ni dobra
ni zła ni dziwna
ni śmieszna ni straszna
trwoga
po prostu zimna
jak prąd wichru ze szczelin u proga

Malutkie bojaźnie przekształciły się w wyraźne lęki i niepokoje, te z kolei w wyraźnie zarysowany akcent trwogi, która transformuje się następnie w postać śmierci.

Oto poetycki bieg tych przemian, który w poszczególnych utworach Czechowicza, od wczesnych do późniejszych, stale odnajdujemy.

W tomie „z błyskawicy", wydanym w 1934 r. przez „Drogę", w wierszu „preludium" padają następujące słowa:

ciemnym kwiatem makowym skinę
nieruchomy zapach uderzy mnie
i zginę

W wierszu „dzień", znajdującym się w zbiorze pt. „dzień jak codzień", wydanym przez Hoesicka, ostatnia strofka brzmi tak:

gdy chaos huków przybierał
pęczniał
o niewiast piersiach marzyła pierś
to drżał w niej ciężar stalowa tęcza
idąca śmierć

A wcześniej jeszcze w wierszu „śmierć" (w tomie „Kamień") czytamy:

Ja nie chcę wierzyć i nie chce
wierzyć mały poszarpany kruk
którego psy rozdarły
śmierć chodzi ona do mnie mówi
szeptem gorącym
zdaje się że z obrazu złotego dna
wychodzi Bóg
schyla się nade mną umarłym
i krukiem zdychającym

Zaglądamy do dalszych tomów. W wymienionej już wyżej „Balladzie z tamtej strony" w wierszu „samobójstwo' poeta stwierdza:

jesteśmy zjawiska czasy ludzie
śmierci geniuszem jednym
śmierci geniuszem

W tymże tomie w wierszu tytułowym znajdujemy taką wypowiedź:

o dlaczego
wzrok Twój nie schodzi
z przedmiotów pod oknem leżących
na stole
z godziny w której żem się rodził
ze skrzynki zamkniętej jak boleść
z umarłych rąk czechowicza

A w „elegii żalu" (w tejże „Balladzie z tamtej strony") tragicznie brzmią słowa:

zakrywam się przed rozpaczą dłonią
otwartą
listopad mocno trzyma mnie
w ramionach
wiersz ten rozdarto
spojrzyj już kona

I wreszcie ostateczne stwierdzenie w tomie „nic więcej" w wierszu tytułowym:

tak naznaczyło mnie signum
tonąc widzę w odmęcie
widzę kto dni me ciosa
z bólu i cyfr.

Powyższe cytaty w retrospektywnym prawie zestawieniu ukazują przemiany, jakie dokonywają się w Józefie Czechowiczu — pierwotny niepokój i lęk przybiera wyraźną formę śmierci, a ta z kolei staje się przeznaczeniem, z którym poeta nie walczy. Nigdzie w jego utworach, wcześniejszych czy późniejszych, nie znajdziemy słów całkowitego poddania się losowi, ale nigdzie też nie znajdziemy akcentów buntu i walki. Stosunek Józefa Czechowicza do tej rzeczywistości wewnętrznej jest ściśle poetycki: obcy mu jest jakby własny los — rzeczą istotną są możliwości wydobycia z niej ekstraktu poezji. Toteż w ostatecznym rachunku wszystko staje się obrazem poetyckim, spełniającym się jak film ekspresyjny na ekranie życia.

Jednak śmierć nie jest ostatnią fazą długiego szeregu przemian. Z jej enigmatycznej, ciemnej treści rodzą się dalsze ekspresje, mające charakter kataklizmu ,obejmującego szerszy teren. Nad zaczynającą snuć się katastrofą świata podnosi się zwolna kurtyna — osobisty dramat przybiera charakter obrazu jasnowidczego, w którym kres indywidualny zazębia się i konkretyzuje w splocie z tragedią świata. W tym ostatnim, prawie przedśmiertnym okresie swej twórczości słowa poetyckie nabierają charakteru wizyj i proroczych ostrzeżeń. Oto trzy jakże charakterystyczne cytaty.

W wierszu zatytułowanym „dzisiaj verdun" (tom „dzień jak codzień") jest zwrot:

zlikwidowano wojnę spętano paktów
powrozem
napróżno bo my wciąż na froncie
bijemy się
patosem dział świszczących bomb
grozą
jestem wciąż na pustyniach verdun

Tom „Ballada z tamtej strony" zawiera wiersz pt. „sam", znajdujemy w nim takie słowa:

wszędzie czerwienie kołem
płomienie wisząc
w mętnym strumieniu sekund
grozą
powodzią wieków
straszniej niż noc
straszniej niż burza
straszniej niż sen

I wreszcie w jednym z ostatnich swoich wierszy, zatytułowanym „żal" a pomieszczonym w tomie ostatnim wierszy „nuta człowiecza", wydanym przez księgarnię F. Hoesicka w czerwcu 1939 r., a więc na krótko przed wybuchem wojny, poeta jasnowidczo woła:

zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój

A dalej jasno widzi swój los:

ja śpiący pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach

Ostatnim akordem w tymże wierszu jest wykrzynik:

czy zdąży kręta rzeka z braterskiej
krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów
podźwigną...

Bieg wypadków, który wkrótce się zaczął, spełnił niestety przewidywania jasnowidcze Czechowicza. Pierwszego września 1939 r. rozpoczął się na wielką skalę „czerwony udój", który wietrzyły natchnione nozdrza poety, a sam on porażony bombą lotniczą legł krwawym strzępkiem w murach Lublina.

Zanim jednak słowa opisu uplastycznią jego ostatnie chwile, chcę jeszcze utrwalić pewną rozmowę, również bardzo charakterystyczną dla jego psychiki, którą miałem z nim wkrótce po tragicznej śmierci jednego z poetów lubelskich, Bronisława Michalskiego.

Był to rok 1935. 27 lipca tego roku zginął w nurtach Wisły Bronisław Michalski, obdarzony talentem oryginalnym, rokującym jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Pozostał po nim wydany jeszcze za życia poety nakładem Lubelskiego Związku Literatów w 1932 r. tom pt. „Wczoraj" i po tragicznej śmierci — przez księgarnię F. Hoesicka w 1936 r. — zbiór poezyj pt. „Spotkanie z brzozą".

Michalski na kilka dni przed swym zgonem napisał dwa wiersze: „Topielcy" i „Ostatni wiersz".

Obydwa one są jakby nagłym przeczuciem kresu. Oto trzy ostatnie zwrotki w wierszu „Topielcy":

Poco usta ma dzielić rozłąka?
Ciężar ciała pozostawmy w mule —
polecimy wichurą po łąkach
najczarowniej, najmięcej, najczulej...

Usiądziemy pod nocą wełnianą
jak najcichszym i najlepszym
drzewem
i będziemy przez dłonie uśpione
swoje serca jedwabne przelewać

w śpiewie rzeki poranków, wieczorów,
w piorunowe, przenikliwe błyski
zrozumiemy rudą rozpacz boru
w szarej trumnie, u nowej kołyski...

A w swym „Ostatnim wierszu" poeta woła:

Dlaczegoś zdarzył nieinaczej
że muszę odejść stąd,
skoszony sierpem rozpaczy,
na twój tragiczny ląd?

Gdy lądem... a we mnie ziemia
śpiewa...
a tu, a tam... już lepiej nie
wspominać;
tylko ogromnie żal, że drzewa...
i mroczna, gęsta glina...

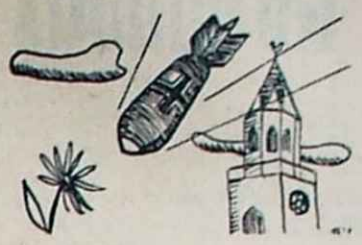

Że nie przypomnisz mi,
jak pachnie maj i słowik,
że nie przypomnisz, zły,
w krzemiennej swojej mowie
tych nut,
tych złud,
mój najsmutniejszy Boże...

Trudno chyba o bardziej przejmujący dowód przeczucia jasnowidczego tragedii, która po upływie zaledwie paru dni nadejść miała — trudno w literaturze znaleźć podobną poetycką przedśmiertną modlitwę, będącą skargą zasyłaną do Boga a protestującą przeciw nieodwracalnym przeznaczeniom.

Nigdzie poza tym w utworach Michalskiego nie ma akcentów niepokoju czy wyczucia zbliżającej się śmierci z wyjątkiem jeszcze wiersza zatytułowanego „Spotkanie z brzozą", który to tytuł stał się tytułem tomu. Jest w nim taka zwrotka:

„brzozie smutno spotkanej na drodze
szepcę: — siostro, strząśnij sen
i ciemność!
w sen i ciemność światłością ugodzę
a zaszumisz weselem nade mną..."

Otóż tak się złożyło, że po śmierci, Michalskiego pochowano na Bródnie w glinianej mogile obok brzozy płaczącej. Fakty te będące dowodem prawdziwości przeczuć silnie poruszyły Józefa Czechowicza. Długi czas nie mógł się uspokoić i stale w rozmowach wracał do tego tematu.

W trakcie jednej z rozmów Czechowicz, który miał naturę mistyka, powiedział: — Wiesz, chciałbym móc przeczuć i przewidzieć swą śmierć; ciekaw jestem jaka ona będzie. Wydaje mi się, że gwałtowna i tragiczna i już chyba niedaleka.

W pierwszych dniach po wybuchu wojny, Czechowicz wraz z paroma przyjaciółmi wyruszył z Warszawy, postanawiając pieszo dojść do Lublina. Zresztą tym szlakiem ciągnęły wtedy tłumy.

Po kilku dniach, rankiem tragicznego 9 września, wędrowcy dotarli do Lublina i posiliwszy się i odpocząwszy około godziny 10-ej weszli do zakładu fryzjerskiego Ostrowskiej, mieszczącego się w domu narożnym przy zbiegu ulic Kościuszki i Krakowskiego Przedmieścia. Właśnie w tym czasie zaczął się

(Dokończenie na str. 8)

Wspomnienie o Romualdzie Kononowiczu

19 sierpnia br. zmarł w Nałęczowie artysta - malarz, nauczyciel Państwowego Liceum Technik Plastycznych Romuald Kononowicz, urodzony w 1907 r. w Ziemi Nowogródzkiej, gdzie spędził wczesne dzieciństwo. Życie miał ciężkie. Znosił je ze stoicyzmem, darząc zawsze ludzi uśmiechem pozbawionym złośliwości. Już w 14 roku życia ciężkie warunki materialne zmusiły go do pracy fizycznej. Szkołę średnią, Państwowe Seminarium Nauczycielskie, ukończył w Wilnie w 1933 r. W tym czasie rozpoczął studia malarskie w pracowni brata Zenona, pod korektą prof. F. Kowarskiego. W latach 1938—39 wyjeżdżał na krótkie studia do Włoch i Francji. Prace swoje zaczął wystawiać w 1937 r. Druga wojna światowa rzuciła go daleko na wschód. Był w armii w Egipcie i na froncie włoskim. Odznaczony dwukrotnie złotym krzyżem zasługi, ranny pod Monte Cassino. Wrażenia Jego artystyczne pogłębiło zetknięcie się z folklorem Afryki, Azji i Anglii. Największe wrażenie na Nim uczyniła monumentalna sztuka egipska. Na uchodźstwie pracował też w swoim zawodzie jako pedagog. Po powrocie do kraju w 1947 r. malował dużo, wystawiając w Szczecinie, Gorzowie, Zielonej Górze, gdzie otrzymywał nagrody. Ostatnie lata spędził w Nałęczowie, poświęcając się umiłowanej pracy pedagoga, malując pejzaże i wystawiając w Lublinie. W pracy swej malarskiej usamodzielniał się stopniowo, wyzwalając się spod wpływów innych artystów. Celował w pejzażu, gdzie zdradzał duże uzdolnienia kolorystyczne i miękkość natury subtelnej, czującej się najlepiej wśród zarośli, przeglądających się w topieli, których widok zapadł Mu głęboko w duszy w czasach dzieciństwa. Pochowany został w Nałęczowie, żegnany przez kolegów nauczycieli i malarzy.

w. ch.

Sartre i Giraudoux

(Dokończenie ze str. 4)

go komediach politycznych sylwetki groteskowe i humorystyczne nigdy nie posiadają tego poetyckiego wdzięku, z jakim poruszają się na scenie Alkmena, Hektor, Odyna. Bo też sztuki Sartre'a i Giraudoux odróżnia nie klimat intelektualny, ale aura emocjonalna, w której Sartre zdecydowanie wybiera prądy zimne i chłoszczące, Giraudoux natomiast jest zwolennikiem kapryśnych, lecz trochę po wiosennemu uroczych zmian i fluktuacji. Nie należy się temu dziwić: Sartre z reguły wybiera najbardziej doraźne i agitacyjne formy wypowiedzi, obok dramaturgii i powieściowej prozy uprawia publicystykę, esej, wykład naukowy. Dla Giraudoux język artystyczny, biorący zawsze wiele z poezji, formułuje najlepiej jego sądy o rzeczywistości, jest najbardziej adekwatny w stosunku do tych treści ludzkiego wnętrza, jakie trudno wyrazić prosto i jednoznacznie, a wiele łatwiej — aluzyjnie i metaforycznie.

„Dramaty" Sartre'a, „Teatr" Giraudoux — to wielkie wydarzenia dla polskiego czytelnika, miłośnika sceny, a kto wie, czy nie przede wszystkim — dla polskiego autora dramatycznego. Wśród wielu kryzysów, jakie obecnie sygnalizuje się w naszej literaturze współczesnej — chyba najbardziej poważnym jest kryzys polskiej dramaturgii, atrofia tak cennej umiejętności wyrażania ludzkich konfliktów w utworze zwartym, wypełnionym w równej mierze po brzegi akcją, co wkraczającymi już w podtekst problemowo-artystyczny realiami psychologicznymi, sytuacjami, konstrukcją bohaterów. Sartre i Giraudoux — to mistrzowie tak pojętej sztuki teatralnej;oby ich nauka nie poszła w las naszego, bardzo polskiego lekceważenia dla prawdziwych osiągnięć kultury innych narodów, którego iście paradoksalnym przykładem może być wznowienie „Witaj smutku" niejakiej Saganki!...

Zbigniew Pędziński

Zielona GWIAZDA nad Marsylią

JERZY LABEGA

Marsylia 3—10 sierpnia 57 r.

Kiedy zapisywałem się na kurs języka Esperanto, wielu z moich znajomych ze współczuciem spoglądało na mnie, wyrażając wątpliwości co do mojej równowagi psychicznej.

— Co ci da Esperanto? — pytali, dodając snobistycznie, że tylko język angielski może otworzyć przede mną Świat przez duże „Ś". Moje argumenty trafiały w próżnię.

Dopiero wiadomość, że jadę z 38-mioosobową polską delegacją na 42-gi Światowy Kongres Esperantystów do Marsylii, zamieniła wszystkich w powszechnie znany słup soli.

Wszystko to przypominam sobie, gdy nasz PKS-owski autokar wjeżdża do słynnego portu francuskiego. Mam jeszcze w oczach przeszło 2.000 km przebytej trasy, która wiodła przez Brno, Wiedeń, Linz, Salzbury, Innsbruck, księstwo Liechtenstein, Zürich, Berno, Lozannę, Genewę, Grenoble, słynne z nugatów Montélimar, Avignon, a już każę się szczypać moim towarzyszom — czy to naprawdę ja, czy to naprawdę Marsylia.

Krążymy głównymi ulicami miasta, podziwiając barwny tłum płynący szerokimi chodnikami. Migają nam przed oczyma różne kolory strojów i wszystkie odcienie skóry ich właścicieli. Zatrzymujemy się przed „kongresejo", gdzie nasze kierownictwo załatwia formalności, a każdy z nas otrzymuje imienną kartę kongresową i pamiątkowy znaczek.

Nasz autobus, ozdobiony flagą polską i esperancką (zielona gwiazda na białym polu) oraz napisem „Kraków — Marseille" wzbudza żywe zainteresowanie. Otaczają nas grupki esperantystów francuskich, jugosłowiańskich. „Saluton! Saluton"! — brzmią pierwsze słowa powitania. Witają się z nami jak starzy znajomi, jak przyjaciele. Z miłym zdziwieniem nie tyle dla siebie samego, co dla dr. Zamenhofa, genialnego twórcy języka Esperanto, — stwierdzam, że dwa miesiące nauki tego języka wystarczy, by móc się nim doskonale porozumieć. Nabieram coraz więcej śmiałości i gadam. Co za satysfakcja!

Jest już godzina 14 i jedziemy za miasto na nasz camping drogą, którą za tydzień będziemy jechać na francuską Riwierę, aby przez północne Włochy, a następnie Austrię i CSR powrócić do kraju. Droga naprawdę bajeczna! Posiada trzy pasma ruchu kołowego, a między nimi dwa pasma promenad wśród szpaleru platanów o centkowanej korze. Mijamy stadion sportowy, nieco dalej słynny blok mieszkalny Corbusiera i po kilku minutach wjeżdżamy na obszerny camping, obsiany jasnokolorowymi, nowoczesnymi namiotami, przy których nasze będą się prezentować bardzo, bardzo skromniutko. Ale kto by się tym przejmował! Z zapałem rozbijamy obóz i już zawieramy znajomość z esperantystami, którzy tu obozują. Znów Jugosłowianie, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy, Norwegowie, Austriacy. Wszyscy odnoszą się do nas bardzo przyjaźnie. Nie dlatego, żeby czuli specjalną sympatię do Polaków, chociaż i z tym spotykaliśmy się często, lecz po prostu dlatego, że esperantyści tworzą wspólną, związaną pięknymi ideami brać i nie odczuwają żadnych różnic narodowościowych. Toteż zżywamy się z nimi szybko.

Nazajutrz rano, na oficjalnym otwarciu, dowiaduję się nowych dla mnie i ciekawych rzeczy. Olbrzymi gmach Opery wypełniony jest szczelnie ponad 1.500 ludzi liczącym tłumem. Wszyscy w gali, chociaż 50-ciostopniowy upał daje się wszystkim we znaki. Siedzę blisko grupy niewidomych esperantystów.

Przemawia około 40-stu delegatów z prawie wszystkich krajów Europy oraz z dalekiej Australii, Nowej Zelandii, Japonii, Chin, Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Brazylii, Afryki Południowej, Konga belgijskiego, Maroka, Turcji, Izraela, Wenezueli.

Najliczniejsze delegacje przybyły z Włoch, Szwecji, Niemiec, Jugosławii, Holandii, Polski i Anglii. Dowiaduję się, że np. w Jugosławii język Esperanto stał się językiem obowiązkowym w szkołach, i nie tylko zresztą w Jugosławii. Myślę o tym i mam nadzieję, że nie damy się wyprzedzić pod tym względem innym krajom.

Na drugi dzień wieczorem jest wielki Bal Narodów. Sześcioro spośród nas przebiera się w stroje krakowskie i góralskie, które przywieźliśmy ze sobą. Ja udaję, jak mogę, typowego bacę z Zakopanego. Wysiadając z autokaru pod znanym lokalem dansingowym La Plage, położonym tuż przy morzu, z miejsca wzbudzamy sensację. Nawet kilkumetrowy Dawid Michała Anioła (kopia oczywiście), stojący nieopodal na cokole, mrugnął do nas porozumiewawczo okiem. Jesteśmy, prócz jednej marsylianki, jedynymi gośćmi ubranymi w stroje regionalne. Nic więc dziwnego, że z miejsca uczestnicy balu rzucają się na nas, zasypują pytaniami i głośno wyrażają swój zachwyt nad pięknością i oryginalnością naszych strojów. Idą w ruch reflektory, aparaty filmowe i fotograficzne. Stajemy się ośrodkiem zainteresowania całej sali. Tańczę kolejno z Włoszką, Szwedką, Jugosłowianką, Hiszpanką, rozmawiam z nimi i kręci mi się w głowie, ale nie z tańca, lecz z nadmiaru wrażeń.

Tej nocy długo nie możemy zasnąć i dzielimy się wzajemnie przeżyciami ostatnich godzin.

Od rana słońce praży jak co dzień, tzn. niemiłosiernie. Nasza bohaterska trójka przebiera się znów w regionalne stroje, by w samo południe przedefilować ulicami Marsylii.

W grubych góralskich portkach i skórzanym pasie jest mi „nieco" ciepło, a gunia cięży na ramieniu jak worek polskich ziemniaczków. Ale choć ciało umęczone, dusza raduje się na widok zainteresowania wokół naszych postaci. Nie możemy się na moment zatrzymać, by nie otaczała nas stale rosnąca grupa gapiów. Przystają dosłownie wszyscy. Nasza znajomość francuskiego ogranicza się do informowania ciekawskich, że jesteśmy Polakami, którzy przyjechali na Kongres. Rozpiera nas duma, że chociaż w ten sposób robimy propagandę dla naszego kraju.

Dzięki naszym strojom wyławiamy Polaków zamieszkałych stale we Francji. Spotykamy młodego rodaka w mundurze pilota armii francuskiej. Właśnie wraca z urlopu spod Paryża do swojej jednostki, stacjonującej w Algerze. Mówi doskonale po polsku, chociaż — urodzony we Francji — nigdy w Polsce nie był, ale tatuś patriota pielęgnuje w domu mowę ojczystą.

Nasz nowy znajomy cieszy się ze spotkania na równi z nami i zaprasza nas na piwo do pobliskiej kafejki. Spędzamy z nim pół godziny na miłej pogawędce, wymieniamy adresy i dajemy upominki z Polski.

— Zaraz napiszę o tym do domu. To się tatuś ucieszy! — mówi na pożegnanie.

Przeżywamy jeszcze kilka podobnych spotkań a wśród nich godne zanotowania.

— Jak się wam tu podoba w Marsylii, esperantyści? — pada gdzieś z boku pytanie, kiedy suniemy zatłoczonym chodnikiem. Odwracam się i z okrzykiem: „Rodaku, serwus!" ściskam rękę jakiegoś mężczyzny, który z kolei przedstawia mi swą małżonkę. Otaczamy go wszyscy i po krótkiej rozmowie żegnamy się.

— No, to do zobaczenia w kraju! — mówi nasz rozmówca.

— To pan zamierza odwiedzić nasz kraj? — pytamy zaciekawieni.

— Nie, ja wracam na stałe do Polski — pada odpowiedź.

— Tak? To świetnie! — mówimy — Teraz już można, teraz jest u nas dobrze!

— Ja wien — odpowiada na to spokojnie nasz rodak — bo ja tu jestem konsulem.

Śmiejemy się wszyscy serdecznie i jeszcze raz żegnamy.

W następne dni wykorzystujemy czas do maximum. Kąpiemy się w morzu Śródziemnym, łykając okropnie przesoloną wodę i patrzymy rozczarowani na coś, co Francuzi zwykli nazywać „plażą", tj. na 10-metrowej szerokości pas, kamienisty i nieprawdopodobnie zaśmiecony.

Następnie wspinamy się malowniczymi uliczkami na wzgórze, by podziwiać romańsko-bizantyjską bazylikę Notre-Dame de la Garde, skąd roztacza się najpiękniejszy widok na całe miasto, port, morze i pobliskie wysepki.

Po długich targach z wyrywającymi sobie nas nawzajem właścicielami motorówek, jedziemy wreszcie za 150 fr. „od łebka" na wysepkę Château d'If, zwiedzamy mury dawnego słynnego więzienia i obowiązkowo całujemy się w celi hrabiego Monte Chri-

(Dokończenie na str. 7)

Na monumentalnych schodach prowadzących na stację kolejową esperantyści ustawiają się do wspólnej fotografii. Korzystam z małego zamieszania, by zrobić sobie zdjęcie z rasową Włoszką.

HELENA PLATTA

LISTONOSZ LUBELSKI

Około sześćdziesiątki: — gaduła stary.
Skórzana torba, mundur, okulary.
Nazywa się: Stonoga.
Mieszka stąd blisko — w Rynku.
Dwa razy dziennie
w zaułki Starego Miasta
niesie zieloną,
krzaczastą
nadzieję:
Liście, pąki, —
nakrapiane znaczkami
biedronki...
W oknie sutereny przy ulicy Złotej
zalśnił list —
zamiast promienia:
Radość wrząca w czerwonym rondelku.
Przy Królewskiej pod piątym
oddałeś pieniądze sierotom,
a paniusi, co wódką handluje — pozew.
I wciąż wiele schodów,
Twarze,
ręce i kuchnie
i progi
zmierzchy zimowe,
okrzyki dziecięce
i — chore nogi...

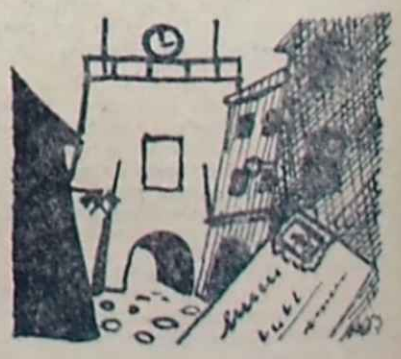

Listonosz Stonoga od wielu lat roznosi listy po wszystkich ulicach Starówki Lubelskiej, jest postacią dobrze znaną mieszkańcom tej dzielnicy.

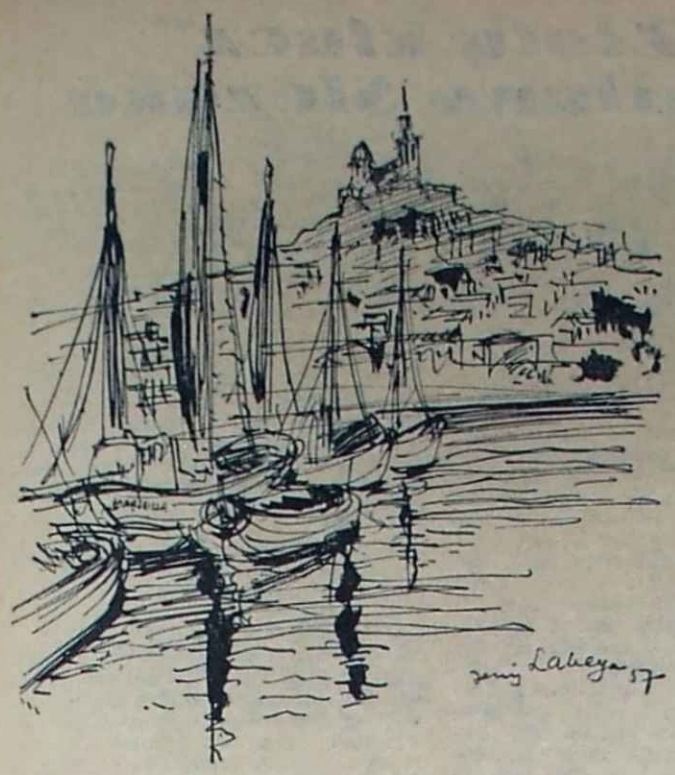

Na pierwszym planie Vieux-port. W dali górujący nad miastem kościół Notre-Dame de la Garde.

ZIELONA GWIAZDA nad Marsylią

(Dokończenie ze str. 6)

sto — co podobno ma przynieść wyjątkowe szczęście. Oczywiście nie wszyscy wiedzą, że to ja sam wymyślam w ostatniej chwili, aby wykorzystać nadarzającą się okazję.

Wreszcie ostatni wieczór w naszym obozie. Spędzamy go w towarzystwie wszystkich esperantystów, znajdujących się na terenie campingu. Robimy koło i uczymy ich polskich piosenek z esperanckim tekstem, a potem śpiewamy już po polsku nasze narodowe pieśni, jak „Sto lat" i „Góralu, czy ci nie żal..."

Oj żal, żal serce ściska, kiedy wczesnym rankiem żegnamy się z naszymi towarzyszami. Jeszcze pożegnalne zdjęcia, jeszcze wymiana adresów i w końcu rozstajemy się z tą nadzwyczaj przyjemną gromadką.

— Do zobaczenia w 59-tym roku na 44-tym Światowym Kongresie Esperantystów w Warszawie! — wołamy na pożegnanie i rozkrzyczani machamy do nich rękami, póki nie znikną nam z oczu.

Jerzy Labega

Z DALEKA O BLISKIM

W PRZECIWIEŃSTWIE do dzisiejszej zasady czasopism literackich: de mortuis nihil — długo, długo, a potem oficjalnie bene w „okrągłym" roku jubileuszowym (z pewnym opóźnieniem), tygodnik Les Lettres Francaises zamieścił, w numerze 653, serdeczne wspomnienie o Henryku Barbusse'ie w 22 lata po jego śmierci. Przejmujący ten artykuł oparty jest na danych zaczerpniętych z dziennika autora Ognia.

PARYSKI korespondent Times'a dostarczył swemu pismu frapujących wiadomości o francuskim życiu teatralnym. Według jego relacji jest w Paryżu siedem — osiem teatrów, które mają zarówno z sobotniego, jak niedzielnego przedstawienia ponad milion franków. Kompiet Opery Paryskiej przynosi 3 miliony. Natomiast w większości teatrów sytuacja nie jest tak różowa. Można naliczyć przynajmniej osiemnaście mniejszych placówek teatralnych, których widownia mieści około 500 osób. Bilet kosztuje tu od 400 do 800 franków, co daje w najlepszym wypadku zaledwie 40 tysięcy frs. Tymczasem wystawienie sztuki „bulwarowej" z obsadą nie przewyższającą 10 osób, z nie więcej niż dwoma dekoracjami i bez kostiumów historycznych — kosztuje 4—5 milionów franków. Gdy się zestawi z tymi liczbami przeciętny dochód brutto od przedstawienia w teatrze bulwarowym: ca 250 tysięcy frs — łatwo przyjść do wniosku, że aby pokryć koszty własne wystawienia sztuki, teatr musi pracować intensywnie i pomyślnie minimum przez miesiąc. Różne czynniki składają się na obecne trudności finansowe przedsiębiorstw teatralnych. Ceny materiałów są 200 razy wyższe od przedwojennych, a rachunki krawców słone, podczas gdy dawniej „les grands couturiers" uważali za najlepszą zapłatę zamieszczenie ich nazwiska w programie. Wzrosły także podatki. Itd., itd. Stosunkowo nieźle powodzi się autorom dramatycznym: otrzymują oni od 3 do 65 tysięcy franków z przedstawienia, a tacy pisarze jak Anouilh czy Salacrou — ponad 100 tysięcy. Co do aktorów, to kiedy teatr ma złą passę, muszą oni zadowolić się miesięcznym minimum, jakie im gwarantuje kontrakt. We francuskim świecie teatralnym — powiada autor notatki — pogłoski o bliskim zamknięciu i bankructwie stały się w ciągu ostatnich 10 lat tak częste, że manager nie narzekający na swoje położenie materialne staje się nieomal osobą podejrzaną.

SĘDZIWY Gordon Craig (mój Boże, jak ten czas leci i jak nowości się wznawiają!) sprzedał państwu francuskiemu swoje zbiory teatralne za 15.600.000 frs. Jeżeli kolekcja jest bogata — a tak przypuszczać należy — to wobec niskiego kursu franka cena nie byłaby wygórowana. Miłe to robi wrażenie, gdy dysponent kulturalny, mimo kryzysu finansowego, umie korzystać z takiej okazji.

TRAFNY i dowcipny artykulik zamieścił miesięcznik Theater der Zeit (nr 6) na temat obsesji ilustracji muzycznych. Od Goethego do Fryderyka Wolfa wszystko jest „umuzycznione", zarówno zmarli pisarze, jak żyjący. Jedni nie mogą się bronić, drudzy myślą, że wychodzi to „po Brechtowsku", służy więc ich utworom. „Nie wiem, jak innym — mówi autor notatki — ale mnie to przeszkadza. W półmroku, przed rozpoczęciem sztuki, pełen jestem radosnego oczekiwania na to, co ma nastąpić po podniesieniu kurtyny. Ale najpierw następuje — muzyka! Gdy opadła kurtyna po odsłonie, chętnie bym sobie posiedział w przyćmionym świetle rozmyślając nad widzianym. Co mi na to nie pozwala? Muzyka!... A ja właśnie nie życzę sobie, by mnie od początku „nastawiano" albo — co gorsza — ukołysano muzyką. Niech by kompozytorzy poświęcali lepiej swój drogocenny czas na tworzenie własnych dzieł muzycznych, zamiast przyczyniać się do mnożenia takich teatralnych bastardów".

m. b.-r.

NOTATKI Z OBCEGO MIASTA

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

KRZYSZTOF Kolumb patrzył w morze. Był ogromny, biały i wyniosły. Na jego kamiennych dłoniach siadały gołębie, a on wciąż, stojąc na ziemi, którą odkrył, patrzył na ziemię, z której przybył. Idąc za wzrokiem martwego posągu — widziałam morze. Było dalekie i w jesiennym słońcu mieniło się barwą srebrnozieloną. Gołębie wciąż i wciąż krążyły nad głową Krzysztofa Kolumba, który był dla nich tylko przystanią w śmigłym locie ku niebu. Nagle barwa morza wydała mi się boleśnie znajoma. Odchodząc od Krzysztofa Kolumba wiedziałam już o niej: taki kolor miały oczy człowieka, który zginął w powstaniu. Lecz nie bolał mnie kolor ten: przeszedł przezeń czas, pokrywając go dniami, jak pyłem z dalekich dróg.

NA Plaza de Mayo kwitną nagietki. Patrzę na nie tak intensywnie, jakbym nagle znalazła w ich płatkach ratunek na moją tęsknotę. Układają się złocistym wieńcem u stóp białej kolumny i wydaje mi się, że poukładały się na trawnikach drobne, radosne kulki słońca. Tymczasem generał San Martin wspina się niezmiennym ruchem na spiżowym koniu, wznosi dłoń, wskazuje wolność Argentynie — owoc swego żołnierskiego życia sprzed lat stu. Gdy od słonecznych nagietek odwracam wzrok ku posągowi generała, podniesiona dłoń obcego bohatera zdaje się szydzić z mej tęsknoty i z myśli o wolności, która mnie nie opuszcza.

GDY podniosłem rękę, srebrny autobus zatrzymał się. Wiózł mnie teraz przez szerokie ulice pełne małych, dziwacznych domków. Domki te wydają mi się prawie żartem. Z okien autobusu są dziecinną bajką, kolorową i nawet miłą. Zajmują większą część miasta. Po gmachy i drapacze chmur trzeba jechać ponad godzinę. Wiele tu tajemniczych ogródków, gdzie kwitną pomarańcze, róże i cytryny o przejmującym zapachu, który przypomina szczęście. Tak wiezie mnie srebrny autobus przez ulice pełne domków i pachnącego szczęścia, które mijam. Już wiem: pomyliłam się — domki nie są żartem. Są one zupełną prawdą ludzką. Żartem tu jestem ja: wygnaniec z Europy.

CIENIUTKIE koperty lotnicze, obrzeżone niebieskim szlakiem, giną w dłoniach. A za chwilę jakie ciężkie się staną od słów, które napiszę, od listów, które będę słać. Przez ocean, przez czas, przez jesień. A kiedy w list do siostry włożę drobny płatek obcego kwiatu — cieniutka koperta skryje go jak najwierniejszą tęsknotę. O, jakże jesteś szczęśliwa, cieniutka koperto lotnicza która możesz polecieć do Polski i prosto trasą W-Z do Konstancina, gdzie właśnie kwitnie bez. Cóż wobec ciebie znaczę ja — przygwożdżona wygnaniem do obcej ziemi, rozdzielona zielonosrebrnym oceanem i ciężarem gnębiących lat?

PLAŻA de Flores. Kwitną tam różowo lekkie, przedziwne kwiaty nieznanych drzew. Z innych drzew wysokich spadają grube, pełne strąki, które zbierają chłopcy o wesołych twarzach. Na środku zaś placu jest pomnik jakiegoś obcego człowieka. Nic mnie nie obchodzi, omijam go. Kocham tylko lekko różowe kwiaty nieznanych drzew. A także puszystą trawę, która błyszczy w słońcu. A także wiatr, który porusza wąskie liście gałęzi nad głową. Różowolekkie kwiaty przypominają mi jabłonie — trawa — zapach łąk — a wiatr? On przypomina mi wszystko, co utraciłam.

JÓZEF Garibaldi w olbrzymim kapeluszu wznosił ku niebu dłoń ruchem, który wydał mi się patetyczny. Przeto odwróciłam od niego wzrok ku drzewom, rosnącym przy Plaza de Italia. Były wysokie i obce. Liście, które im wiatr porywał, nie przypominały w niczym liści polskich drzew. Wiatr jak olbrzymi akord z symfonii Beethovena uderzył mnie zimnem i obojętną potęgą. Ludzie, którzy mijali mnie śpieszną i chaotyczną falą, przecinali uporczywe myśli o patosie dłoni, wznoszącej wolność. I nagle zdało mi się, że wszyscy żołnierze z mojej Ziemi, którzy walczyli w wojnie ostatniej — mają ucięte dłonie. Przeto błąkać się muszę po mieście, którego widok błyskotliwy i wzniosły boli mnie niemal tak samo jak dalekie wspomnienie Mojego Miasta.

L'ESQUINA choffer — powiedziała gruba niewiasta, przepychając się gwałtownie ku wyjściu. Autobus zatrzymał się na rogu i zaraz ruszył raźniej, jakby się cieszył, że wysiadła gruba pani. Ja miałam wysiąść na następnym rogu i mogłam tak samo rzec: „L'esquina choffer" — lecz wnętrze małego autobusu było ciekawe, barwne i śmieszne. Jechałam więc dalej, pełna zdziwienia. Ściany autobusu były wylepione najrozmaitszymi fotografiami. Obok San Martina, narodowego bohatera Argentyny, wisiała fotografia Juan Manuel Fangio — bożyszcza Argentyńczyków. Doprawdy sądzą oni, że ów Fangio, który w wyścigach samochodowych Europy zdobył kilka razy zaszczytne miejsce — jest najsławniejszym człowiekiem świata. Więc Fangio uśmiechał się ze ścian autobusu, a obok niego tuż tuż wisiał obrazek Madonny de Lujan, a za nim jakaś prawie naga tancerka hawajska. Zaś szofer miał za kierownicą maskotkę z dziecięcego butka. Na olbrzymim lustrze zawiesił sobie wstęgi o narodowych barwach, sztuczne kwiaty, San Martina i czarną, brzydką dziewczynę. Z zewnątrz autobus był malowany w fantastyczny i kolorowy wzór. W tak barwnym pudełku jedzie się w ogromnym tłoku i krzyku. Bowiem wszyscy tu ze sobą rozmawiają. A szofer jest człowiekiem niestrudzonym: prowadzi wóz, sprzedaje bilety, rozmawia, śmieje się i każdemu powie coś miłego. Szczęśliwy, beztroski naród. Śmieszny, miły, przyjacielski naród. Jestem wdzięczna dziwnemu autobusowi: pozwolił mi przecież zapomnieć o smutku i o liście, który przyszedł zza oceanu.

GDY deszcz zaczyna padać cierpko, gęsto i nieskończenie — wydaje się, że zatopi w swej szarości cały świat. Senne dymy z portu kładą się na miasto, przykrywają całunem sadzy małe domki, w których drzemie życie. Senne dymy z portu odgradzają mnie od morza barwy i smutku — i ciężko mi wierzyć, że jest jakieś inne za morzem życie, że tam właśnie zostało dwadzieścia moich lat, że wyrasta tam nowych czyichś lat dwadzieścia, że lata te, jak moje — pełne są wiary, szczęścia i walki. O deszczu, rozchyl zasłonę snów, przybliż zostawione lata moje, zwróć mi czas wiary, uczyń dłonie moje silnymi, wyzwól mnie od tęsknoty.

Buenos Aires, 1950.

DEBIUTY

LECHOSŁAW JESIEŃSKI

Jutro

Wróżę o szczęściu
z lotu motyla,
z korali jarzębin czerwonych...
a szczęściem przyszłość —
jutrzejsza chwila
radości ptaka wyzwoli.

Niczym dziś,
niczym teraz,
mam przyszłość:
tyle — nic więcej,
lornetką marzeń w jutro spozieram
dziś — w smutku,
jutro — w piosence.

Smutek do chwili przykuwa czasami,
a radość zawsze przede mną.
Przejdzie południe,
noc stanie pod drzwiami
i jutrem — będzie ciemność.

MARIAN NIKADON

Młodość

Dwadzieścia lat.
Co to znaczy dwadzieścia lat
towarzysze.

Skłamana historia
rozwiany piach
wiatr na kałużach pisze.

Dwadzieścia lat
przełamane w pół
jak czerwona legitymacja —

Dwadzieścia porwanych kart
na nowej drodze
zgubionego życia.

Stalowa tęcza – idąca śmierć

(Dokończenie ze str. 5)

nalot niemiecki na Lublin. Kilkadziesiąt samolotów rzuciło setki bomb burzących i zapalających na bezbronne miasto, powodując poważne zniszczenia i śmierć wielu ludzi. Kilka bomb padło na dom, w którym mieściła się fryzjernia Ostrowskiej. Jedna z nich przebiwszy sklepienia wpadła do zakładu.

Według relacji Henryka Domińskiego [1], lublinianina, poety i dziennikarza, pracującego w Warszawie, który do Lublina przywędrował razem z Czechowiczem — bieg wypadków był następujący. Gdy bomba wpadła do fryzjerni, on i towarzysze skoczyli pod ścianę i upadli na ziemię, natomiast Czechowicz kierowany jakby antyinstynktem skoczył w kierunku bomby. W rezultacie eksplozji zginęło kilka osób i runął zakład. Leżący pod ścianą towarzysze Czechowicza ocaleli, po kilku godzinach wygrzebali się spod gruzów i wydostali się ze zburzonego domu bez poważniejszych obrażeń.

Relację tę potwierdził również Kazimierz Wójcik [2], jeden z ocalałych towarzyszy Czechowicza, uczestnik walk w szeregach wojsk polskich na Zachodzie, który powrócił do Lublina.

W rezultacie akcji ratunkowej wydobyto spod gruzów strzęp ludzki, w którego kieszeni znaleziono niezniszczony słownik polsko - angielski z napisem na pierwszej stronie: własność Józefa Czechowicza. Ten to strzęp złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu.

Ale skoro już mowa o ostatniej posłudze, którą grono przyjaciół zmarłego poety oddało mu, muszę opowiedzieć jeszcze jedno zdarzenie, synchronizujące z całością opowiadania i stanowiące pewnego rodzaju pointę.

Było to w roku bodajże 1927. Jeden z naszych wspólnych przyjaciół, Władysław M., zaprosił mnie i Konrada Bielskiego na tzw. wykwintny obiad, podczas którego wypiliśmy poważną ilość wina różnego rodzaju. Rausch złotymi falami zalewał nam głowy, gdyśmy opuszczali przybytek Bachusa.

Po pewnym namyśle postanowiliśmy odbyć dłuższy spacer. Na jednej z ulic spotkaliśmy Józefa Czechowicza, wracającego również z jakiegoś obiadku. Przyłączył się do nas, razem pobrnęliśmy poprzez ulice Lublina pełne słońca i zieleni. Postanowiliśmy pójść za miasto, ale drogą poprzez cmentarz prawosławny. Cmentarz ten w okresie przedwojennym był ulubionym miejscem spacerów. Alejami jego można było wyjść na tak zwaną białą drogę i dalej w pola, rozłożone wachlarzowato dokoła miasta.

Na cmentarzu tym stoi niewielka cerkiewka, stale prawie zamknięta. Otóż przechodząc obok niej spostrzegliśmy, że szyby w oknach dolnych kondygnacyj są powybijane. Podeszliśmy bliżej i zajrzeliśmy do środka. Wewnątrz w piwnicznych sklepieniach stały trumny. Niektóre z nich były otwarte. Widocznie jakieś ludzkie hieny dostały się do podziemi, węsząc zdobycz. Poruszeni byliśmy przez chwilę mocno tym widokiem. Milcząc poszliśmy dalej, postanawiając szybko opuścić cmentarz i wyjść na pola.

Aliści wkrótce odzyskaliśmy dobry nastrój. Tylko Czechowicz szedł zamyślony i zasępiony, nie mogąc jakoś pokonać złego wrażenia.

W połowie cmentarza Bielski, który szedł obok mnie, szepnął: — Widzisz, jaki Józio jest zmarkotniały, zobaczysz, jak ja go przestraszę! — Pomysł zdawało się był naiwny. No bo przecież, mimo swej wrażliwości, Czechowicz był dorosłym człowiekiem a poza tym było piękne lipcowe popołudnie i dużo ludzi naokoło. No ale logika ludzi, którzy wlali w siebie dużą ilość dobrego wina chodzi innymi drogami niż tych, którzy przy obiedzie piją wodę mineralną, toteż z całkowitą aprobatą patrzyłem, jak Bielski odwrócił się nagle, stanął przed Czechowiczem, położył mu ręce na ramionach i krzyknął głośno: — Józiu, nie odwracaj się. Bo jeśli głowę odwrócisz, to ja tupnę w ścieżkę, a wtedy ukryta dźwignia poruszy się i wyrzuci w górę nieboszczyka, który spadnie Ci na plecy. Mimo pozornej bezsensowności „kawału" widocznie Bielski poruszył jakiś fibr w psychice Czechowicza, bo ten nagle odtrącił go, obrócił się szybko i popatrzywszy w stronę cerkwi krzyknął przeraźliwie, upadł na ziemię i uległ poważnemu atakowi nerwowemu. Przestraszeni tak niezwykłym rezultatem zdawałoby się zupełnie niewinnego „kawału", chwyciliśmy Czechowicza na ręce i wynieśli poza obręb cmentarza. Wśród spacerowiczów znalazł się przygodnie lekarz, który choremu udzielił pierwszej pomocy, po czym odwieźliśmy go dorożką do domu.

Po upływie paru dni Czechowicz zjawił się u mnie. Był spokojny i uśmiechnięty.

— Nie myśl, powiedział na wstępie, że jestem takim dzieciakiem, którego „kawał" Konrada mógł wytrącić z równowagi. Widzisz, w momencie, gdym się odwrócił, zobaczyłem poza cerkwią w stronie miasta jakby jakiś wybuch — widziałem w górę strzelające płomienie i kłęby dymu — a ze środka tej eksplozji jakby jakieś widmo wyciągało ku mnie długie, kościste ręce — jedną usiłowało złapać mnie za gardło a drugą pokazywało na ziemię pod moimi nogami. I co ciekawsze, że w tej chwili, gdy odtwarzam sobie widziadło, bynajmniej nie odczuwam trwogi. Ot po prostu myślę o nim jak o śnie przeżytym na jawie!

Rozmowa ta silnie utrwaliła się w mej pamięci, a jej wspomnienie i wspomnienie tego „kawału" nabrały niezwykłej treści, gdy później po tragicznej śmierci Czechowicza, złożono go w grobie, dokładnie w tym samym miejscu, na którym przed laty miał ową wizję.

Wacław Gralewski

[1] *Henryk Domiński zginął podczas okupacji, rozstrzelany przez hitlerowców w Palmirach w 1941 r.*

[2] *Kazimierz Wójcik, przyjaciel Czechowicza, utalentowany recytator, zmarł po powrocie do kraju, w Lublinie w 1947 r.*

„Złoty klucz" Czesława Slezáka

Debiut poety jest najczęściej dużą sensacją lub zjawiskiem, na które nie zwraca się uwagi. W pierwszym i drugim wypadku krytyka wyrządza poetom krzywdę, bo utrudnia im normalny rozwój.

Leży przede mną tomik Czesława Slezáka. „Złoty klucz" i jego autora należy zaliczyć chyba do tej drugiej grupy.

Notatka umieszczona na odwrocie karty tytułowej: „Wydano staraniem Związku Literatów Polskich i Wydziału Kultury WRN w Katowicach" przypomina nieco powielaczowe tomiki Lubelskiego Klubu Literackiego. Jednak tomik katowickiego poety przerasta swoich rówieśników z Lublina świetnym papierem, objętością i wysokością nakładu (1554 egz.). Nie będę tu porównywał — jako jeden z bezpośrednio zainteresowanych — wartości tych tomików, chodzi o samo zjawisko. Prowincja zaczyna się ruszać, a to też coś znaczy.

Przejdźmy jednak do tomiku Slezáka. Obejmuje on przeszło pięćdziesiąt wierszy podzielonych na trzy części: „Początek czasu", „Pieśni milczenia" i „Pielgrzymi". Dwie ostatnie z wymienionych części obejmują cykle o zagładzie Żydów, Mickiewiczu i Chopinie.

Nazwisko Mickiewicza wskazuje już na pewne pokrewieństwa i określa charakter wierszy zamieszczonych w tomiku. Główną ich cechą jest prostota zarówno w odczuwaniu świata jak i w środkach wyrazu. Jednak autor nie ustrzega się przy tej okazji grożącego wielu niebezpieczeństwa retoryki. Retoryczność tych utworów niweluje tak nieodzowną przy tego rodzaju twórczości bezpośredniość. Zaciera siłę przeżycia gubiąc ją w gładko płynącym toku wypowiedzi, np.:

Niejeden pomnik w gruzach legł
i kula rozerwała piersi
za to, że wiary w ludzkość strzegł,
za to, że ludzie niepodlegli.

Chociażby z tego samego przykładu widać, że autor często ogranicza się również do starych, mocno już ogranych motywów słownych. Wydaje mi się, że Slezák za bardzo uwierzył słowu. Sama nazwa ma bardzo często przekazać uczucie lub refleksję. Niestety, to już się dzisiaj nikomu nie udaje.

Byłoby jednak dla autora krzywdzące dostrzeganie tylko tej strony jego twórczości. W tomiku znajdzie się jednak spora garść wierszy, w których autor potrafi wyzbyć się retoryki zastępując ją zupełnie szczerą bezpośredniością wyrażoną różewiczowską oszczędnością metafory, np.:

Gdy byłem dzieckiem
wierzyłem w ogrom świata
który można schować
do kieszeni.

Najwięcej tego typu wierszy znajdziemy w cyklu poświęconym zagładzie Żydów („Pieśni milczenia"). Z tego względu cykl ten uważam za najsilniejszą pozycję tomiku. Jednak w cyklu tym znajdziemy również utwory, które grzeszą zbytnią ascezą słowa, nie mogącą już udźwignąć wielkiego ładunku przeżycia („Egzekucja"), lub dużym rozgadaniem („Godzina radości"). Wydaje się często, że autor nie potrafi znaleźć złotego środka umiaru, który najtrafniej by wyraził to, co poeta chce przekazać czytelnikowi.

Dalszy rozwój Slezáka widzę w perspektywie ograniczenia się autora do liryki kameralnej. Przekazywanie zwykłych uczuć ludzi zwykłych, bez windowania się na pomnik wieszcza może rokować Slezákowi duże osiągnięcia *).

Józef Wiesław Zięba

*) *Czesław Slezák — „Złoty klucz". Katowice 1957 r. Wydawnictwo „Śląsk".*

Nowe książki

STANISŁAW CZERNIK: „UCIECZKA ZA CZEREMOSZ"

Po książkach W. Zukrowskiego i Jerzego Putramenta, ostatnio otrzymaliśmy jeszcze jedną pracę o tragicznym wrześniu 39 r. Jest to utwór znanego pisarza Stanisława Czernika, zatytułowany: „Ucieczka za Czeremosz".

W „Ucieczce za Czeremosz" przedstawił Czernik dzieje własnej nieszczęsnej wojaczki, oraz to, co widział w tragicznych dniach września, kiedy to naród bohatersko walczył i ginął, a drogi i trakty były zatłoczone tłumem kalekich ludzi, pojazdów, rozbitych aut i koni. Po wyjściu z Przemyśla i przybyciu do Sambora, zaczyna się paniczna ucieczka. Krótkie wytchnienie daje postój w cienistym lesie, a później w jarze. Tutaj powstaje „Legenda o zdradzonym wojsku". W „Legendzie" raz jeszcze błysnął talent poetycki Czernika. Utwór ten tchnie szczerością i prostotą. Dlatego wzrusza. Nie mniej wzruszają kapitalne opisy i sceny tragicznego odwrotu, gęsto rozsiane w książce.

Po wielu przygodach, udaje się rozbitkom przedostać do Rumunii. Teraz następuje nowy etap życia i nowa seria przygód, z dala od kraju. Na tułaczce. Tylko chłop spod Iłży, pilnujący skarbca narodowego, zdecydował się na powrót do rodziny. (Ten chłop to wybitnie udana postać książki Czernika).

Po chwilowym pobycie w gościnnej wiosce górskiej Polacy udali się w głąb kraju, gdzie ich internowano. Pięć miesięcy trwała ta bieda, aż w końcu udało się autorowi wyjechać do Algeru. „Notatnik siatiński urywa się w dniu Bożego Narodzenia" — kończy Czernik swoją ciekawą, szczerą i głęboko wzruszającą opowieść o ciernistych drogach polskich tułaczy. Jest to jednocześnie i dokument historyczny tych niezwykłych dni. Książkę Czernika czyta się z ogromnym zainteresowaniem jak autentyczny pamiętnik.

JERZY ROS: „INDYJSKIE WĘDRÓWKI"

W serii „Dookoła świata" „Iskry" wydały ciekawą książkę Jerzego Rosa pt. „Indyjskie wędrówki". Autor dobrze poznał wielkie miasta Indii (Bombaj, Kalkuta), poznał też wsie i miasteczka na podstawie włóczęgi po „drogach i bezdrożach półwyspu". Wrażenia swoje z tej dalekiej wędrówki zamknął w interesujących reportażach, w których starał się odmalować tak przeszłość, jak i teraźniejszość Indii, ich kulturę i sztukę. Zagadnieniom tym poświęca dużo miejsca i uwagi. Na czoło wybija się jednakże obok spraw, związanych z dniem dzisiejszym, z teraźniejszością, tętniącą coraz głośniejszym rytmem — folklor, ten skarb, jaki stanowi starohinduska sztuka ludowa, będąca źródłem, z którego wypływa wartki i bujny strumień kultury narodowej.

Ros umie ciekawie opowiadać, umie też wysnuwać własne wnioski. Ze wspaniałych świątyń wyprowadza czytelnika na drogi wiodące do małych wiosek, by tam pokazać mu całą nędzę tego bogatego i jakże pięknego kraju, potworność przesądów i zabobonu, wyrosłych na tle bardzo zróżnicowanych wierzeń religijnych, podziału na kasty i klany. Ale autor jest pełen wiary w zwycięstwo postępu. Z dnia na dzień rośnie rola Indii we współczesnym świecie. Indie siedmiomilowymi krokami kroczą w przyszłość.

J. Ros zadał sobie trud wyszukania śladów pierwszych Polaków w Indiach. Jest to zresztą zgodne z jego intencją pokazania nie tylko obrazu teraźniejszości Indii, ale i częstego sięgania do historii tego kraju, do jego dziejów, starych podań i pieśni, do praźródeł kultury i sztuki, do zwyczaju i obyczaju. Najpełniej jednak ukazał nam autor Indie współczesne, podkreślając ten olbrzymi wysiłek, jakiego dokonano na drodze odrodzenia i dźwignięcia Indii.

jnk

Stanisław Czernik: „Ucieczka za Czeremosz", wyd. MON, 1957.

J. Ros: „Wędrówki indyjskie", „Iskry", 1957.

Do Redakcji „Kameny"

Po powrocie z Paryża, znalazłem przesłany mi uprzejmie przez redakcję „Kameny" numer pisma (130) z artykułem p. J. W. Zięby pt. „Futuryzm z retuszem", w którym autor poddał analizie porównawczej teksty jednych i tych samych moich wierszy, drukowanych w różnych tomach. Autor odmawia mi prawa do za daleko, jego zdaniem, posuniętych zmian w imię historii literatury, i odmawia wartości tak zmienionym wierszom.

Oba wydane przeze mnie tomy wierszy („Wiersze dawne i nowe" w Czytelniku, „Wiersze i poematy" w Iskrach) zostały ostatnio szeroko i niemal entuzjastycznie omówione przez takich poetów i krytyków starszego i młodszego pokolenia jak Mieczysław Jastrun („Przegląd Kulturalny"), Ryszard Matuszewski („Nowa Kultura"), Julian Przyboś (we wstępie do tomu), prof. Wyka („Życie Literackie"), Jerzy Lau („Po prostu"), Wacław Sadkowski („Trybuna Ludu"), Arnold Słucki („Nowiny Literackie") i wielu innych. Napastliwy ton artykułu młodego polonisty — artykułu, jak sądzę, będącego odosobnionym wyjątkiem w praktyce literackiej naszej młodzieży — uwłacza nie tylko mnie, ale i tym pisarzom, którzy poświęcili swe pióro mojej pogrzebanej przez milczenie poprzedniego okresu poezji. Odsyłam czytelników „Kameny" do owych artykułów, gdyż bezczelny ton wypowiedzi p. Zięby nie pozwala mi na jakąkolwiek dyskusję z nim.

Zagadnienie, czy żyjący autor ma prawo do dokonywania zmian w swoich utworach, poruszę przy innej sposobności — tymczasem zaś muszę zaprotestować przeciwko zmianie mego tekstu przez młodego „obrońcę futuryzmu" w wierszu moim pt. „Anielski cham", gdzie słowa „parujące bydło, cudniejsze od aniołów", zamienił p. Zięba przez słowa „panujące bydło".

Przykro mi, że redakcja „Kameny", użyczając miejsca p. Zięble, nie pomyślała o możliwości nadużycia zaufania redakcji przez młodego współpracownika: wymieniona bowiem przeze mnie zmiana ma charakter prowokacji i donosu politycznego. Mówi ona o p. Zięble więcej, niż potrafiłbym powiedzieć ja sam w najbardziej nawet wyczerpującej odpowiedzi.

Anatol Stern

Redakcja „Kameny" przeprasza kol. Anatola Sterna za przeoczenie błędu drukarskiego w artykule J. W. Zięby pt. „Futuryzm z retuszem" (nr 130 „Kameny"). Epitet przy rzeczowniku „bydło" w wierszu „Anielski cham" powinien brzmieć: „parujące", a nie „panujące", jak mylnie wydrukowano.

Ankieta Stowarzyszenia Księgarzy Polskich

Stowarzyszenie Księgarzy Polskich, w porozumieniu ze Związkiem Literatów Polskich, rozpisuje ankietę w celu dokonania wyboru 25 najlepszych książek ze współczesnej literatury polskiej (proza, poezja, dramat, essay), które ukazały się w ostatnim roku.

Za najlepsze umotywowane wypowiedzi przyznane będą nagrody w formie książek i albumów z dziedziny sztuki.

Wypowiedzi z podaniem nazwiska i adresu należy nadsyłać do Związku Literatów Polskich, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89, począwszy od dn. 1 września do dnia 1 października. Ogłoszenie wyników nastąpi do dnia 1 listopada bież. roku.

Rysunki w numerze:
Mirosław Komendecki

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienai i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 2735. 27.VIII.57. A-14